



GIOVANNI BOCCACCIO

Decameron

Dekameron

GIOVANNI BOCCACCIO

Dekameron

Przekład: Edward Boyé



Tytuł oryginału: ***Il Decamerone***

Przekład: **Edward Boyé**

Tekst na podstawie edycji zamieszczonej w serwisie Wolne Lektury
(www.wolnelektury.pl; CC-BY-SA 3.0). Opracowanie redakcyjne i przypisy:
Paulina Choromańska, Dorota Kowalska, Paulina Oltusek

Korekta: **zespół Wydawnictwa SBM**

Opracowanie graficzne: **Jacek Bronowski**

Projekt i opracowanie graficzne okładki: **Anna Witwicka**

Ilustracje na okładce: Salvatore Postiglione, scena z *Decameronu*, ok. 1906 r.
(domena publiczna) oraz Dreamstime.com | © Flasi00, © Olga Lepeshkina, © Marymo

© Copyright for the Polish edition, cover and layout by Wydawnictwo SBM, 2021
Warszawa 2021



Wydawnictwo SBM Sp. z o.o.

ul. Sułkowskiego 2/2

01-602 Warszawa

www.WYDAWNICTWO-SBM.pl

ISBN 978-83-8222-563-1

Spis treści

Wstęp	13
Prolog	19
Dzień pierwszy	37
Opowieść pierwsza	
Spowiedź Ciappelletta.....	39
Opowieść druga	
Podróż Abrahama z Paryża do Rzymu	51
Opowieść trzecia	
Trzy pierścienie	56
Opowieść czwarta	
Ciężki grzech	59
Opowieść piąta	
Kury	63
Opowieść szósta	
Sto za jedno.....	66
Opowieść siódma	
Poskromienie skąpca.....	69
Opowieść ósma	
Skąpiec Grimaldi	74
Opowieść dziewiąta	
Pątniczka	77
Opowieść dziesiąta	
Zakochany starzec	79
Dzień drugi.....	87
Opowieść pierwsza	
Martellino kaleka	89
Opowieść druga	
Modlitwa do Świętego Juliana.....	94

Opowieść trzecia	
Dziwne małżeństwo	101
Opowieść czwarta	
Landolfo Rufolo	110
Opowieść piąta	
Andreuccio z Perugii.....	115
Opowieść szósta	
Znalezione dzieci.....	128
Opowieść siódma	
Alatiel, narzeczona króla Algarbii	141
Opowieść ósma	
Przypadki grabieży Antwerpii.....	161
Opowieść dziewiąta	
Nieszczęścia poczciwej białogłowy	176
Opowieść dziesiąta	
Kalendarz starych mężów	188
Dzień trzeci.....	199
Opowieść pierwsza	
Wilk w owczarni	203
Opowieść druga	
Król włosy strzyże	210
Opowieść trzecia	
Spowiedź.....	215
Opowieść czwarta	
Droga do raju	225
Opowieść piąta	
Koń i żona.....	230
Opowieść szósta	
W miłości jak na wojnie	236
Opowieść siódma	
Pielgrzym.....	245

Opowieść ósma	
Ferondo w czyścicu	261
Opowieść dziewiąta	
Giletta z Narbonne	272
Opowieść dziesiąta	
Diabeł i piekło	282
Dzień czwarty	293
Opowieść pierwsza	
Ghismonda i Guiscardo	301
Opowieść druga	
Miłości archanioła Gabriela	311
Opowieść trzecia	
Zazdrość	321
Opowieść czwarta	
Narieczona króla Granady, czyli nieszczęśliwi miłośnicy	328
Opowieść piąta	
Lisabetta z Mesyny	334
Opowieść szósta	
Dwa sny.....	338
Opowieść siódma	
Dowód niewinności.....	346
Opowieść ósma	
Ofiary miłości.....	350
Opowieść dziewiąta	
Okrutny mąż.....	356
Opowieść dziesiąta	
Cudowne przytrafienie pewnego nieboszczyka	360
Dzień piąty.....	373
Opowieść pierwsza	
Podwójne porwanie.....	375

Opowieść druga	
Strzały Martuccia	386
Opowieść trzecia	
Na włos od śmierci	393
Opowieść czwarta	
Słowik	400
Opowieść piąta	
Dwaj rywale	406
Opowieść szósta	
Szczęśliwe spotkanie	412
Opowieść siódma	
Violanta	418
Opowieść ósma	
Okrutne łowy.....	425
Opowieść dziewiąta	
Sokół	431
Opowieść dziesiąta	
Zgodny mąż	438
Dzień szósty.....	451
Opowieść pierwsza	
Zręczna odpowiedź	455
Opowieść druga	
Piekarz	457
Opowieść trzecia	
Falszywa moneta	462
Opowieść czwarta	
Jednonogi żuraw.....	465
Opowieść piątą	
Szpetny wygląd	469
Opowieść szósta	
Dowód szlachectwa	472

Opowieść siódma	
Niewierna żona.....	475
Opowieść ósma	
Dobra rada.....	478
Opowieść dziewiąta	
Guido Cavalcanti.....	480
Opowieść dziesiąta	
Brat Cipolla	483
Dzień siódmy.....	499
Opowieść pierwsza	
Pokutująca dusza.....	502
Opowieść druga	
Kadź i żona	508
Opowieść trzecia	
W nagłym przypadku.....	513
Opowieść czwarta	
Kamień i kosa	519
Opowieść piąta	
Mąż spowiednikiem	524
Opowieść szósta	
Podwójne oszustwo	532
Opowieść siódma	
Obity i ukontentowany.....	537
Opowieść ósma	
Nitka pani Sismondy.....	543
Opowieść dziewiąta	
Zaczarowana grusza	551
Opowieść dziesiąta	
Gość z tamtego świata	563

Dzień ósmy571

Opowieść pierwsza	
Przykry zawód	573
Opowieść druga	
Przypadki proboszcza z Varlungo	576
Opowieść trzecia	
Pocziwy Calandrino.....	583
Opowieść czwarta	
Na gorącym uczynku.....	592
Opowieść piąta	
Sędzia bez spodni	598
Opowieść szósta	
Ukradziona świnia	602
Opowieść siódma	
Zemsta uczonego.....	609
Opowieść ósma	
Rogi za rogi.....	632
Opowieść dziewiąta	
Przygoda mistrza Simonego	637
Opowieść dziesiąta	
Oszustka na hak przywiedziona	654

Dzień dziewiąty671

Opowieść pierwsza	
Ciężkie próby.....	673
Opowieść druga	
Belka i słomka	680
Opowieść trzecia	
Calandrino przy nadziei.....	684
Opowieść czwarta	
Przygoda Cecca Angiulieri	690
Opowieść piąta	
Miłosna przygoda Calandrina	695

Opowieść szósta	
Nocne pomyłki	705
Opowieść siódma	
Sen Talana.....	711
Opowieść ósma	
Wino za ryby	714
Opowieść dziewiąta	
Rady Salomona.....	719
Opowieść dziesiąta	
Gdyby nie ogon	725
Dzień dziesiąty	733
Opowieść pierwsza	
Wspaniały król	735
Opowieść druga	
Ghino di Tacco.....	739
Opowieść trzecia	
Mitrydan i Natan	745
Opowieść czwarta	
Wspaniałomyślność miłośnika	752
Opowieść piąta	
Cudowny ogród	760
Opowieść szósta	
Rybaczki	766
Opowieść siódma	
Król rycerz	773
Opowieść ósma	
Dwaj przyjaciele	781
Opowieść dziewiąta	
Przytrafienia Saladyna i Torella.....	799
Opowieść dziesiąta	
Gryzelda	818
Posłowie.....	835

WSTĘP

*Zaczyna się księga Dekameron, w której zawiera się sto nowel,
opowiedzianych przez siedem białogłów i trzech młodzieńców*

Ludzka to rzecz współczucie dla nieszczęśliwych; jeśli jest ono każdemu właściwe, to tym bardziej winno być znane człękowi, co sam, litości potrzebując, od drugich jej doznawał. Należę do liczby tych, którzy w potrzebie przyjaźni się nurzają, uczucie to wielce sobie cenią i niejedną miłą chwilę mu zawdzięczają. Od najwcześniejszych lat mojej młodości aż po dzień dzisiejszy szlachetną i wzniosłą miłością jestem ożywiony, bardziej może — gdybym chciał o tym opowiadać — niżby tego niska moja kondycja oczekiwać pozwalała. A chociaż zyskiwałem pochwały i estymę ludzi pełnych ogłady, co o tych sprawach zasłyszeli, to przecież wiele srogiego bólu miłość ta mi sprawiła; przyczyną jego było jednakże nie okrucieństwo miłowanej damy, lecz zbyt ni ogień mojej duszy, trafionej niepowściągliwym apetytem. Żądze te nie pozwalały mi się kontentować tym, co posiadałem, i przyczyniały mi więcej boleści, niżby należało. Wpółród tych wielkich cierpień rozmowy z jednym z moich przyjaciół i pociechy od niego doznawane były dla mnie wsparciem, bez którego z pewnością bólu mego bym przeżyć nie mógł. Jednakże według niezmiennego prawa, ustanowionego zrządzeniem Tego, kto sam jest nieskończony, każda ziemska sprawa koniec swój mieć musi; tak się też stało z moją, nazbyt płomienną namiętnością, której ani zdrowy rozsądek, ani żadna rada, ani myśl o czekających na mnie niebezpieczeństwach i sromie przełamać i zwyciężyć nie mogły; dopiero wszechmocna siła czasu powoli ją przytłumiała, tak iż dzisiaj ostało po niej jeno uczucie ukontentowania, znane każdemu, komu obce jest ryzyko puszczania się na burzliwe namiętności odmęty. Ciężko mi było na duszy, jednakże ból minął i ostały mi się tylko miłe wspomnienia.

Boleść osłabła, lecz żyje i do grobowej deski trwać będzie pamięć o dobrodziejstwach okazanych mi przez tych, co gwoli litości, odczuwanej dla mnie, moim cierpieniem cierpieli. Nie ma, według mego zdania, szlachetniejszego uczucia niżli uczucie wdzięczności. Zasługuje ono na najwyższą pochwałę, gdy przeciwnie, jego brak godzien jest jeno wzgardy. Wdzięcznością powodowany, chciałbym w miarę sił moich w zamian za to, co otrzymałem, teraz, gdy już swobodny jestem, pewne ulżenie sprawić, jeśli już nie tym, co mi dobrodziejstwa okazywali i którzy, być może, dzięki swej rozwadze lub szczęściu usług mych nie potrzebują, to przynajmniej tym, którym się one na coś zdadzą. A chociaż moja pomoc i wsparcie niewielkimi by się okazały, wszakoż, zgodnie z swym mniemaniem, winienem je nieść tam, gdzie się na nie najbardziej czeka i gdzie przez to lepiej ocenione będą, i większą korzyść przyniosą. Któż zaprzeczyć może, że z taką pociechą obracać się należy do pięknych dam, którym bardziej niżli mężczyznom jest ona potrzebna? One to, strachając się i wstydząc, w swej delikatnej piersi płomienie miłosne skrywają. O ile zaś ów skryty płomień silniejszy jest od jawnego, wiedzą o tym ludzie, co go doznali. Posłuszne woli i rozkazaniu ojców, matek, braci i mężów, całe dnie w zamkniętych komnatach jak gdyby na próżnowaniu trawią. Chcąc czy nie chcąc, o wielu rzeczach myśleć muszą, a przecież myśli te nie zawsze wesołymi się okazać mogą. Niejednokrotnie próżne pragnienia do ciężkiej melancholii damy te przywodzą; jeśli się jej miłą rozmową nie rozproszy, w ciężkie strapienie może się łatwo przemienić.

Nietrudno się przekonać, że u mężczyzn, którzy miłują, to się nie zdarza; gdy ich bowiem melancholia i przykre myśli ogarną, dość mają na to środków, aby się rozweselić i ulgę znaleźć. Mogą pójść, gdzie chcą, usłyszeć i obaczyć to, na co chcą mają, polować, ryby łowić, jeździć konno, grze lub handlowi się oddawać. Każde z tych zajęć może umysł zająć i choćby na czas pewien smutne myśli rozproszyć; później tą lub inną drogą przyjdzie pociecha i boleść osłabnie.

Los niesprawiedliwie postąpił, skąpiąc podpory tam, gdzie sił jest niedostatek, tak jak to widzimy na przykładzie słabych niewiast. Chcąc tedy choćby w części ten błąd fortuny naprawić i pomoc tym damom,

które miłość poznały, okazać (dla pozostałych wystarczą igły, wrzeciona i krosna), zamyślam powtórzyć sto nowel, bajek albo przypowieści, jak je pospolicie nazywają, opowiedzianych w ciągu dziesięciu dni przez zacne grono siedmiu dam i trzech młodzieńców, gdy we Florencji niedawny mór się srożył; przypomnę także kilka pieśni, śpiewanych dla rozrywki przez te białogłowy.

W nowelach mych zawierają się różne ucieszne i smutne przypadki miłosne, a także inne zdarzenia przeszłych i dzisiejszych czasów. Damy, które je czytać będą, ukontentowanie z opisanych wypadków odniosą i otrzymają dobrą radę, czego unikać należy i za czym iść trzeba. Mniemam, że jedno i drugie nudy im nie przyczyni, przeciwnie, odeгна ją całkiem. Jeżeli tak się stanie (co oby Bóg sprawić raczył), to niechaj czytelniczki moje złożą podziękowanie Amorowi, który mnie z pęt swoich oswobodził i dał mi przez to możność podjęcia trudu, co radość ich ma na celu.

PROLOG

Zaczyna się pierwszy dzień Dekameronu, w którym po wyjaśnieniach autora, dla jakiej przyczyny osoby, mające następnie wystąpić, zebrały się tutaj i gawędzą społem, pod przewodem Pampinei rozprawia się o tym, co każdemu najbardziej przypada do smaku.

Ilokrotnie, miłe damy, pomyślę o wrodzonym wam współczuciu, zaraz wystawiam sobie, że dzieło niniejsze będzie miało dla was smutny i przykry początek. Zaczyna się ono bowiem od wspomnienia morowej zarazy, strasznej i żalosnej dla każdego, kto był jej świadkiem albo też jakimkolwiek sposobem o niej uznał. Nie chciałbym jednak, abyście przeraziły się, nim czytać poczniecie, i pomyślały, że przez cały czas czytania płakać i wzdychać będziecie. Niechajże ów smutny początek będzie dla was tym samym, czym dla wędrowców stroma i spadzista góra, za którą skrywa się miła i piękna równina. Im trudniejsze było wejście i zejście, tym słodsze jest późniejszy odetchnienie.

Nieskończona radość boleścią się kończy, a po boleści znów radość nastaje. Po tym krótkotrwałym smutku (mówię krótkotrwałym, w niewielu bowiem słowach on się wyraża) wkrótce nastąpi wesele i radość, które wam już przyobiegałem. Bez stosownego uprzedzenia, po tak posępnym początku, nie mogłybyście wróżyć sobie później nijakiego ukontentowania. Gdyby to możliwe było, powiodłbym was tam, gdzie chcę, całkiem inną drogą niż tą kamienistą ścieżką. Jednakże, nie dotknąwszy tego wspomnienia, objaśnić bym wam nie mógł, jakim sposobem zdarzyły się te rzeczy, o których czytać będziecie; zatem ku temu konieczność mnie czysta przywodzi.

Powiem więc, że w roku od narodzenia Pana naszego, Jezusa Chrystusa, tysiąc trzysta czterdziestym ósmym, w sławnym mieście Florencji, klejnot miast włoskich stanowiącym, wybuchła zaraza morowa, spro-

wadzona wpływem ciał niebieskich albo też słusznie przez Boga zesłana dla ukarania grzechów naszych. Mór zaczął się na kilka lat przedtem na Wschodzie i spowodował tam wielkie spustoszenia. Powoli, z miejsca na miejsce się przenosząc, zaraza do krajów zachodnich dotarła. Zapobieżenia ludzkie na nic się wobec niej zdały. Nie pomogło oczyszczanie miast przez ludzi do tego najętych, zakaz wprowadzania chorych do grodu, różne przestrzeżenia, co czynić należy, aby zdrowie zachować, ani też pokorne modlitwy, procesje i wszelkie pobożne dzieła.

Wiosną tego roku mór począł w przedziwny sposób okrutne spustoszenia czynić. Choroba nie objawiała się u nas tak jak na Wschodzie, gdzie zwykłym znamieniem niechybnej śmierci był upływ krwi z nosa. Zaczynała się ona równie u mężczyzn, jak u kobiet od tego, że w pachwinach i pod pachą pojawiały się nabrzmienia, przyjmujące kształt jabłka albo jajka i zwane przez lud szyszkami. Wkrótce te śmiertelne opuchliny pojawiały się i na innych częściach ciała; od tej chwili zmieniał się charakter choroby: na rękach, biodrach i indziej występowały czarne albo sine plamy; u jednych były one wielkie i rzadkie, u drugich skupione i drobne. Na chorobę tę nie miała środka sztuka medyczna; bezsilni byli też wszyscy lekarze. Możliwą jest rzeczą, że natura choroby już taka była, albo też, że lekarze nic nie wiedzieli. Medyków wówczas pojawiło się siła, tak mężczyzn, jak i kobiet, niemających, mówiąc po prawdzie, najmniejszego pojęcia o medycznym kunszcie. Nikt nie mógł odgadnąć przyczyny choroby ani znaleźć na nią stosownego remedium. Dlatego też jedynie nieliczni z chorujących do zdrowia powracali, wszyscy pozostali umierali trzeciego dnia, od chwili gdy te znamiona na ciele się pojawiały; przy tym nawet gorączka zazwyczaj nie występowała. Morowa zaraza grasowała z wielką siłą; od chorych udzielała się łatwo zdrowym, którzy z zarażonymi przebywali, podobnie do ognia, co łatwopalne przedmioty obejmuje. Jednakże zło jeszcze szło dalej; wystarczyło dotknąć się sukien chorego lub jakiegokolwiek rzeczy, którą miał w ręku, aby się zarazić. To, o czym teraz powiem, może się wydawać rzeczą zadziwiającą. Gdybym jej na własne oczy nie widział i gdyby nie świadectwo wielu, sam bym jej nie dał wiary ani poważylbym się jej tu opisywać. Siła zarazy była tak wielka, że przenosiła się ona nie tylko łatwo z jednego człeka na

drugiego, ale i tak bywało, że jeśli do przedmiotu, stanowiącego własność chorego, zbliżyło się jakieś zwierzę, zaraz mór się go chwycił i w krótkim czasie je uśmiercał. Jakem to już nadmieniał, sam byłem takiego przypadku świadkiem. Strzępy odzieży pewnego nieboraka, zmarłego z powodu tej choroby, na ulicę wyrzucone zostały. Do szat podeszły dwie świny i jęły je, wedle swego obyczaju, ryjami i zębami poruszać. Nie minęła ani godzina, a zwierzęta, jakby trucizny się najadły, zatoczyły się i padły nieżywe. Wypadki te wzbudziły w umysłach nieopisaną trwogę i napełniły je różnymi wyobrażeniami. Wszyscy bezlitośnie tylko o to się starali, aby społeczeństwa z chorymi unikać. To zdawało się powszechnie jedynym ocalenia sposobem. Niektórzy mniemali, że strzeżliwość przeciwko zarazie zabezpieczyć może, dlatego też wszelkiego nieumiarkowania się wystrzegali. Zgromadzali się w domach swoich, gdzie żyli odcięci od świata całego. Jadali letkie potrawy, pili powściągliwie wyborne wina i chuciom cielesnym nie folgując, czas swój na muzyce i innych dostępnych im przyjemnościach trawili dla zapomnienia o zarazie i śmierci, o których ani słyszeć nie chcieli.

Inni natomaist całkiem przeciwnie postępowali, twierdząc, że najlepszym lekarstwem na zarazę jest nie myśleć o niej, pić tego i żyć wesoło, śpiewać i żartować, wszystkie swoje pragnienia zaspokajać i śmiać się z tego, co się wokół dzieje.

Tak też i czynili. Dzień i noc włóczyli się po oberżach, pili na umór, a częściej swawolili w cudzych domach, opuszczonych przez prawych właścicieli, tak iż każdy mógł je zajmować, rządząc się tam do woli. Jednakowoż i ci, raczej do zwierząt niżli do ludzi podobni, unikali skrzętnie obcowania z zarażonymi. Wpółród takich opresyj i takiej żądzy osłabła, a nawet całkiem szczelła siła tak człowieczych, jak i bożych praw. Jej stróże i wykonawcy bądź to poumierali, bądź chorzeli albo też tylu podwładnych utracili, że obowiązków urzędu swego dopełniać nie mogli. Każdy przeto mógł czynić, co chciał. Wielu ludzi wybrało sobie sposób życia pośredni między tymi dwoma, o których już nadmieniałem. Ci nie ograniczali się w jadle, na podobieństwo pierwszych, nie pili i rozpuście się nie oddawali, żyli tylko zgodnie ze swym gustem a życzeniem. Nie zamykali się w domach, ale chodzili wszędzie, nosząc w rękach kwiaty,

zioła pachnące i różne korzenie, które do nosa przykładali, w mniemaniu że podobne zapachy siły żywotne w nich skrzepią. Powietrze w tym czasie było bowiem ciężkie, gęste i nasiąkłe smrodem gnijących trupów, wyziewami chorych i lekarstw.

Inni wreszcie, bardziej nieużywi i bezlitośni, twierdzili, że najlepszym środkiem na zarazę jest ucieczka od niej. Myśląc tylko o sobie, siła mężczyzn i kobiet opuściła miasto, domy, majątności, krewniaków i przeniosło się do posiadłości swoich, za bramami grodu leżących, albo też u ludzi obcych schronu szukało. Mniemali widocznie, że gniew Boga, karzącego ludzi za ich nieprawość, dosięgnie tylko tych, co w obrębie miasta pozostaną, innych zaś oszczędzi, tak jakby cała ludność miasta na zagładę skazana została i jakby dla niej ostatnia godzina wybiła. Wprawdzie pomarli nie wszyscy z tych, co podobne mniemania żywili, ale i nie wszyscy zarazę przeżyli; owszem, pośród wszystkich tych stronnictw choroba szerzyła się srodze. Liczni, gdy się jeszcze zdrowiem cieszyli, opuszczali w niedoli swoich krewniaków i przyjaciół i tym dawali przykład drugim, którzy, gdy na nich kolej przyszła, to samo czynili, zdając bliskich na pastwę losu. Gdyby to jeszcze sąsiad sąsiada bez pomocy ostawiał, gdyby tylko znajomi i krewniacy wystrzegali się wzajemnych odwiedzin! Niestety, powszechna klęska taką trwogę w umysłach mężczyzn i kobiet sprawiała, że brat opuszczał brata, wuj siostrzeńca, siostra brata, a często nawet żona męża swego. Gorzej jeszcze, że ojcowie i matki ostawiali dzieci swoje, nie troskając się o nie zupełnie, tak jakby obcymi im były. Wielu spośród mnogich mężczyzn i białogłów dotkniętych zarazą mogło tylko u kilku tkliwych przyjaciół albo też u sług najętych pomocy szukać. Słudzy ci, chciwością powodowani, otrzymawszy wielką zapłatę, mieli pieczę nad chorymi. Jednakże i takich niewielu znaleźć można było; byli to przy tym ludzie prości i z podobnymi posługami wobec chorych wcale nieobeznani. Umieli jeno podać czasem to, czego chory żądał, a także po śmierci przybrać go do trumny. Zgarniali wielkie zyski, ale i sami umierali.

Skutkiem tego, że chorych opuszczali krewniacy, przyjaciele i sąsiedzi i że sług dostać nie można było, weszła w obyczaj rzecz dotąd niesłychana: białogłowy, choćby najpiękniejsze i z najlepszych rodów idące, nie wzdrażały się, zachorowawszy, mężczyzn do posług przyjmować, nie wchodząc

w to, czyli są starzy, czy też młodzi, i obnażały przed nimi najwstydlwsze części ciała swojego. Może być, że te, które później do zdrowia przyszły, z zwyczaju tego pobudkę do rozpusty wzięły. Siła umarło z tych, co gdyby pieczę nad sobą mieli, ani chybi by wyzdrowieli. Przy braku opieki i przy gwałtownym szerzeniu się zarazy codziennie tyle narodu ginęło, że strach i zgroza brała nie tylko świadków, ale i tych, co o tym słyszeli.

Pośród ludzi przy życiu pozostałych pojawiło się wiele nowych obyczajów, całkiem przeciwnych do tych, co dawniej istniały. Dotychczas zwyczajem było, że w domu zmarłego zbierały się krewniaczki i sąsiadki, które go pospołu z domownikami opłakiwały; przed domem zatem skupiali się przyjaciele i sąsiedzi oraz liczni współobywatele; do nich później, według godności zmarłego, dołączało się duchowieństwo. Zebrani brali mary na ramiona i ze śpiewem, przy blasku gromnic, zwłoki odprowadzali do kościoła, który zmarły wybrał był przed zgonem. Gdy tylko mór się pojawił, obyczaje te zanikły, ustępując miejsca nowym. Umarłego nie tylko ciżba niewiast nie otaczała, ale niejeden człek samotnie z tego świata schodził, nie będąc żegnany łzami i wzdychaniami swoich krewniaków. Miast szlochów rozbrzmiewały żarty, śmiech i wesołość na stypach.

Nowy ten obyczaj zwłaszcza dbałym o swe zdrowie białogłowom do smaku przypadł, zadając kłam ich płci tklności. Rzadko się zdarzało, aby szczątki doczesne przez więcej niż dziesięć albo dwanaście osób do kościoła odprowadzane były. Orszak żałobny składał się przy tym nie z czcigodnych mieszczan, lecz ze zwykłych grabarzy, którzy zwali się służbą moru i za zapłatą pracowali. Ci, trumnę jak najspieszniej pochwywszy, nieśli ją zazwyczaj do najbliższego kościoła, a nie tam, gdzie zmarły pragnął, aby nad jego ciałem modły odprawiono. Czterech albo sześciu księży, z zapalonymi świecami, a czasem i bez nich, odprowadzało zwłoki do pierwszej napotkanej mogiły i powierzało je ziemi bez zbytnich modłów. Los ludzi ubogich, a nawet tych, co w miernym dostatku żyli, godzien był najżywszej litości. Ci, pozostawszy z powodu ubóstwa albo też z przyczyny ufności, jaką w miłosierdziu bożym pokładali, w domach swoich, wpośród sąsiadów, tysiącami co dnia ulegali chorobie, a nie zaznając znikąd żadnej pomocy, ginęli bez ratunku. Wielu dniem i nocą na ulicach padało, inni umierali w swoich domach, a sąsiedzi po trupim

zaduchu dopiero o ich śmierci się dowiadawali. Znaczna część mieszkańców, bądź to z obawy zarażenia się, bądź też z miłosierdzia dla zmarłych, przyjęła obyczaj wynoszenia zwłok przed dom własnymi rękami czy też przy pomocy grabarzy; kładli je przed progiem, tak że w tych miejscach, zwłaszcza rankiem, niezliczoną ilość zwłok obaczyć można było. Później przynoszono mary, a gdy ich brakło, proste deski; zdarzało się, że na jedne mary dwa albo trzy trupy kładziono, tak iż często można było obaczyć zwłoki męża obok zwłok żony, szczątki dwu albo trzech braci, trupa ojca pospołu z trupem syna leżącego. Za dwoma księżmi, niosącymi krzyże, trzy albo cztery mary niesiono. Duchowni, którzy sądzili, że tylko jednego zmarłego na miejsce wiecznego spoczynku wiodą, przy grzebaniu sześciu albo ośmiu trupów musieli być obecni. Umarłym nie okazywano czci nijakiej, nie odprowadzano ich do grobu z zapalonymi pochodniami ani też nad nimi łez nie roniono. Wreszcie do tego doszło, że równie o umarłych się troskano, co o zdechłe kozy. Jawnym się wówczas stało, że powszechna niedola uczy nawet głupców cierpliwie poddawać się losowi, czego w zwykłych czasach ludzie najmądrzejsi, małymi tylko przeciwieństwami nękani, nauczyć się nie są w stanie. Gdy z powodu mnogości trupów na cmentarzach poświęconej ziemi nie stało, tak iż nie można już i myśleć było, aby każdy zmarły miał swoją mogiłę, poczęto kopać głębokie jamy, w które trupy setkami jedne na drugie rzucano, na kształt towarów na okręcie. Zwłoki ledwie cienką warstwą ziemi przysypywano, póki jama po brzegi się nie nappełniła.

Nie będę się zbytnio rozwodził nad szczegółami tej niedoli, co nasz gród dotknęła; powiem tylko, że zaraza nie mniej rozszerzyła się po miejscowościach okolicznych. Nie wspominam o zamkach, te bowiem do małych grodów podobieństwo mają, chcę natomiast powiedzieć o wsiach, gdzie nieszczęśliwi kmiecie wraz z rodzinami, pozbawieni pomocy medyków i jakiegokolwiek pieczy, marli na polach, drogach i w domach nie jak ludzie, ale jak bydła. We wsiach nastąpiło to samo, co i w miastach, a więc obyczajów rozwiązłość i brak dbałości na obowiązki swoje i sprawy. Ludzie jakby na śmierć każdego dnia czekali i dlatego też nie przykładali nijakiej pilności do uprawy pól, do utrzymywania trzód i dobytku swego; przeciwnie całkiem, starali się roztrwonić płody swej pracy.

Doszło do tego, że woły, osły, owce, kozy, świny, kury, a także najwerniejszych przyjaciół człeka, psy, wyganiano z obejścia, tak iż zwierzęta wałęsały się po polach, gdzie niezżęte żyto przepadało. Niektóre bydłeta, napasłszy się do syta na opuszczonych polach, wieczorem bez pomocy pastucha, niby rozumne istoty, do swych stajen i obór powracały.

Ale ostawmy już wsie okoliczne i do miasta powróćmy. Tutaj ze srogiego niebios wyroku, a także z przyczyny ludzkiego okrucieństwa, w czasie od marca do czerwca więcej niż sto tysięcy osób życie straciło. Ginęli od strasznej zarazy, a także z braku pieczy i pomocy, skąpionej im przez zdrowych, którymi trwoga owładła. Dawniej nikt by może nie był pomyślał, że we Florencji można naliczyć tylu żywych mieszkańców, ilu w niej się później okazało zmarłych. Ileż to pięknych domów, wspaniałych pałaców, przedtem przez mnogie rodziny, przez rycerzy i znamienite damy zamieszkanymi, teraz pustką stanęło! Wymarli w nich wszyscy, aż do ostatniego sługi!

Ileż to świetnych rodów, nieprzejrzanych bogactw i skarbów bez dziedziców ostało! Iluż dzielnych mężów, urodziwych kobiet i młodzieńców, których by Eskulap, Gallen i Hipokrat za obraz kwitnącego zdrowia, ani chybi, poczytali, rano jeszcze obiadowało w społeczności swych przyjaciół i krewniaków, zaś nazajutrz już wieczerało pospołu ze swymi zmarłymi przodkami. Ciężko mi jest na sercu, kiedy błędzę myślą pośród tej okrutnej niedoli, dlatego też wszystko, co mogę, milczeniem pokryję.

A owóż w tym czasie, gdy gród nasz prawie całkiem opustoszał (słyszałem o tym później od człeka godnego wiary), zdarzyło się, że we wtorek rano w starożytnym kościele Santa Maria Novella siedem młodych kobiet się zeszło. Wysłuchały mszy w szatach żałobnych, jakie przystały chwilom takim. Oprócz nich nikogo bez mała w kościele nie było. Damy te więzami pokrewieństwa, przyjaźni i sąsiedztwa zbliżone do siebie były. Żadna z nich jeszcze dwudziestego ósmego roku życia nie ukończyła, najmłodsza zaś ledwie osiemnaście lat liczyła. Były to białogłowy szlachetnej krwi, dobrych obyczajów, roztropne, skromne i wdzięczne. Nazwisk ich tutaj nie wymienię, nie chcę bowiem, aby się w przyszłości wstydzić miały za rzeczy, które opowiadały czy też

słuchały ich. Obyczaje teraz sroższe nastały i nie potrzeba już zażywać uciech i rozrywek, które podówczas dozwolone były nie tylko osobom w ich wieku, ale i starszym o wiele. Nie chciałbym także dać sposobności ludziom zawistnym (gotowym oczernić najniewinniejszego!), aby swymi niesprawiedliwymi posądzeniami mogli dobrą sławę tych białogłów splamić. Aby jednak omyłek uniknąć, pragnę nazwać je imionami, stosownymi do ich natur. Pierwszą, latami starszą, przezwiemy Pampinę, drugą — Fiammettą, trzecią — Filomeną, czwartą — Emilią, piątą niechaj się zwie Laurettą, szóstą — Neifile, siódmą zaś, nie bez przyczyny, Elizą zwać będziemy. Tych siedem niewiast, bez żadnego poprzedniego ułożenia, zeszło się przypadkiem w kościele. Usiadły wkoło, wzdychały długo, a później, skończywszy modlitwy, jęły mówić dużo o tym, co się dzieje. Po jakimś czasie, gdy wszystkie umilkły, Pampinea z takimi słowami do nich się obróciła:

— Drogie przyjaciółki! Wiecie równie dobrze jak ja, że nikomu tego naganiać nie można, iż uczciwie praw swoich używa. Każdy, co na świat przyszedł, ma naturalne prawo podtrzymywać i ochraniać życie swoje. Uznają to wszyscy tak dobrze, że jeszcze nikomu, jeżeli w obronie własnej drugiego zabił, za występki tego nie poczytano. Jeżeli zaś prawa, dla dobra ludzi ustanowione, takie rzeczy czynić pozwalają, o ileż więcej wolno nam być winno użyć wszelkich środków dla ochrony życia naszego? Gdy pomyślę o tym, cośmy robiły dzisiaj i w dni poprzednie, gdy wspomnę nasze rozmyślenia i rozmowy, widzę jawnie, że każda z nas drży o życie swoje. Nie ma w tym, doprawdy, nic dziwnego! Dziwuję się tylko, że my, białogłowy, nie przyjęłyśmy dotychczas stosownych miar w stosunku do rzeczy, co naszą trwogę tak powodują. Zdaje mi się, iż pozostajemy tu tylko dlatego, aby liczyć, ilu umarłych na cmentarz niosą, i patrzeć, czy bracia z tego klasztoru, których niewielu już pozostało, dobrze służbę bożą we właściwym czasie pełnią, albo też po to, by żałobą naszych szat wszystkim ukazywać, jakie nieszczęścia i ile ich nas spotkało. Gdy stąd wyjdziemy, znowu, obaczymy chorych i umarłych, co ich ze wszystkich stron niosą, ujrzymy także różnych łotrzyków, których z miasta za ich zbrodnie wygnano, a którzy teraz, jawnie z praw szydząc, skoro ich strażnicy martwi albo chorzy leżą, zuchwale po mieście się

uganiają. Obaczmy również pospólstwo naszą krwią utuczone, i owych posługaczy moru, waleśających się wszędzie i bezwstydne pieśni śpiewających. Słyszymy tylko o tym, że ten lub ów umarł, a tamten ze śmiercią się pasuje. Gdyby było jeszcze komu płakać, powszędy rozlegałyby się szlochy i jęki. Gdy natomaist powracamy do domu i widzimy, że z całej rodziny przy życiu jeno służka ostała, taki strach za gardło chwyta, że włosy na głowie się podnoszą. Dokądkolwiek bym nie poszła, wszędzie mnie cienie zmarłych gonią, w kształtach swoich odmienione, o prze-rażającym wyglądzie, który nie wiem skąd się u nich wziął. Dlatego też w domu, tutaj i wszędzie ciężko mi jest na duszy, zwłaszcza że, jak mi się zdaje, oprócz nas nie ma już tu człeka, w którym by trochę siły żywotnej ostało. Słyszałam i widziałam, jak często ludzie (nie wiem, czy jeszcze są przy życiu) zatracają wszelką różnicę między rzeczą obyczajną a bezecną i jedynie swoim pragnieniem się powodując, dniem i nocą to jeno czynią, na co ochotę mają. Robią to nie tylko ludzie świeccy, ale i zakonnicy. Przekonani, że nie jest wzbronione im to, co innym dozwolone być może, znieważają śluby swoje, chuciom swoim folgują i myślą tym kształtem życie swoje ocalić. Jeżeli zaś w samej rzeczy tak się dzieje, cóż my tu czynimy, na co czekamy, o czym myślimy, dlaczegoż niedbalej od innych o utrzymanie życia naszego zabiegamy? Czyż gorszymi być się mniemamy czy też sądzimy, że życie do ciał naszych silniejszym łań-cuchem niż u innych jest przytwierdzone, tak iż obawiać się o nie wcale nie trzeba? Doprawdy, w srogim błędzie byśmy byli, bowiem myśleć tą modłą tylko głupiec może. Zważmy, ilu młodzieńców i kobiet od srogiej zarazy zginęło, a obaczmy w tym najlepszy dowód naszego błędnego mniemania. Dlatego też, abyśmy dzięki naszej niedbałości nie wpadły w gorszą biedę, której przecież uniknąć możemy, umyśliłam coś; nie wiem tylko, czy ten środek ratunku wam do smaku przypadnie. Mniemam, że najlepiej będzie uczynić to, co wielu już przed nami czyniło i ani chybi potem uczyni, to jest miejsca te opuścić. Na równi ze śmiercią unikać będziemy przykładów bezwstydných, jeno po prostu z miasta wyjdziemy i udamy się do którejkolwiek z naszych wiejskich posiadłości, gdzie wśród wesela i rozrywek, granic obyczajności nie przekraczając, żyć pocniemy. Rozlegają się tam radosne ptasząt śpiewy; ujrzemy zielone

szczyty i doliny, pola, na których jak morze kołyszą się zboża, a także drzewa różnorodne i niebo odkryte; chociaż się ono i na nas zagniewało, przecież nie skąpi nam przez to swej wiecznej krasy; trzeba przyznać, że milej będzie wpatrywać się weń, niż patrzeć na puste domy naszego grodu. Oprócz tego powietrze tamtejsze czystsze jest, a co się tyczy żywności, to znajdziemy tam jej teraz więcej, a przykrości o wiele mniej niż tutaj. Prawda, że kmiecie podobnie jak mieszczenie umierają, jednakowoż mniej tam ludności i domów, dzięki czemu i mniej się trupów widzi. Przy tym, zdaje mi się, że nie opuścimy tu nikogo, raczej bowiem powiedzieć można, iż same opuszczone jesteśmy. Wszyscy, co nam bliscy byli, albo umarli, albo też, uciekając od śmierci, nas odbieżeli. Żaden wyrzut więc gryźć naszych sumień nie będzie, jeżeli zamysł swój wypełnimy, jeśli jednak się go wyrzeczemy, troska, cierpienie, a być może i śmierć nas spotka. Tedy, jeżeli się zgadzacie, weźmiemy z sobą służbę, opatrzymy się w rzeczy niezbędne i będziemy spędzały czas raz w jednym miejscu, to znów w drugim, weseląc się w miarę tego, jak nam okoliczności pozwolą; mniemam, że najrozumniejszym postępkim to się okaże. Będziemy wiodły takie życie, aż niebo nie położy kresu temu, co się teraz dzieje, chyba że śmierć nas wcześniej dopadnie. Sądzę, że oddalić się stąd jest lepiej, niż tu pozostawać i żyć nieobyczajnie, jak to inni czynią.

Pozostałe damy, wysłuchawszy Pampinei, nie tylko zamiar jej pochwaliły, ale pragnąc go w czyn wcielić, jęły myśleć nad wszelkimi szczegółami, tak jakby wprost z kościoła miały w drogę wyruszyć. Wówczas Filomena, nader roztropna białogłowa, w te słowa rzekła:

— Wszystko, co Pampinea powiedziała, jest rozumne wielce, jednakże nie mamy potrzeby tak się śpieszyć, jak tego pragnąć się zdajecie. Zważcie, że wszystkie kobietami jesteśmy, a przecież i dziecku wiadome jest, że białogłowom trudno jest coś przedsięwziąć bez pomocy mężczyzn. Jesteśmy niestałe, bojaźliwe, uparte i podejrzliwe. Mniemam, że gdy same swoimi przewodnikami będziemy, to społeczność nasza długo trwać nie będzie. Musimy najpierw za jakimś przewodnikiem się rozejrzeć.

— Prawda jest — rzekła Eliza — mężczyźni są naturalnymi przewodnikami białogłów i bez nich rzadko jakiekolwiek niewiast przedsięwzięcie do pomyślnego końca przychodzi. Ale gdzież mamy tych męż-

czyżn szukać? Wiadomo nam, że nasi najbliżsi prawie wszyscy pomarli lub też rozbiegli się w różne strony, uciekając nie wiedzieć gdzie od kłęski, od której i my salwować się chcemy. Przyzwoitość zabrania nieznamomych zapraszać; zresztą zamiast wesela i rozrywki wstyd i przykrość znaleźć byśmy mogli.

Gdy damy tak z sobą rozmawiały, weszli do kościoła trzej mężczyźni. Nie byli to młodzieńcy, najmłodszy bowiem dwadzieścia pięć lat już liczył. Ani przeciwności tego czasu, strata przyjaciół i krewniaków, ani też lęk o życie własne nie zdołały w ich sercach ognia miłości przytłumić, a tym mniej zagaścić.

Pierwszy z nich zwał się Panfilo, drugi — Filostrato, trzeci — Dio-neo. Byli to ludzie krotochwilni, ale i obyczajni. W powszechnym zamę-cie jednej pociechy szukali: dam swoich, które trafunkiem znajdowały się pośród siedmiu białogłów, w kościele zebranych. Niektóre zaś z nich spokrewnione z trzema mężczyznami były. Pampinea, ujrzawszy ich, rzekła z uśmiechem:

— Los sprzyja, widać, naszym poczynaniom, przysyła nam bowiem rozumnych i układowych mężów, którzy naszymi przewodnikami i słu-gami będą, jeśli tylko na służbę przyjąć ich zechcemy.

Neifile, będąca przedmiotem miłości jednego z przybyłych, zaru-mieniwszy się z pomieszaniami, rzekła:

— Na Boga! Pampineo, zważ na to, co mówisz! Znam ich i wiem, że nic złego o nich powiedzieć nie można; poczytuję ich za zdolnych do znacznie ważniejszych przedsięwzięć niż to oto, a także upewnio-na jestem, że towarzystwo ich miłe by było każdemu damom, piękniej-szym i znaczniejszym od nas. Rzecz jednak w tym, że niektórzy z nich, jak o tym wszystkim wiadomo, niektóre z nas miłują; obawiać się za-tem trzeba, że skoro ich zaprosimy, bez ich ani naszej winy ludzie nas obmówić mogą.

— Błahe są to sprawy — odparła Filomena — dopóki postępuję tak, jak należy, i dopóki sumienie mnie nie dręczy, niechaj każdy gada o mnie, co mu się podoba, Bóg i prawda będą po mojej stronie. Jeżeli tylko będą skłonni nam towarzyszyć, to powinniśmy radować się, jak to słusznie Pampinea zauważyła, że los naszym poczynaniom sprzyja.

Pozostałe damy, usłyszawszy te słowa, umilkły i zaraz postanowiły przywołać młodzieńców, opowiedzieć im o swych zamysłach i poprosić, aby im towarzystwa w podróży dotrzymali. Pampinea, krewniaczka jednego z nich, podniosła się, zbliżyła się do nich, spoglądających na nie z daleka, z uśmiechem ich powitała, opowiedziała, w czym rzecz, i w imieniu wszystkich dam poprosiła, aby się zgodzili szczerze i po bratersku do ich kompanii przystać. Z początku młodzi ludzie pomyśleli, że damy z nich żartują, ale potem, przekonawszy się, że wysłanniczka poważnie mówi, odparli wesoło, że zaproszenie ochotnie przyjmują. Bez zwłoki umówiono się o wszystko, w co należało się opatrzyć, wyruszając w drogę.

Przygotowawszy wszystko jak należy, posłali uwiadomienie do tego miejsca, gdzie się udać zamierzali. Następnego dnia, w środę rano, skoro świt, damy w otoczeniu służebnic swoich, a młodzieńcy pospołu ze sługami opuścili miasto i wyruszyli w drogę. Przeszedłszy ze dwie mile, dosięgli umówionego miejsca. Leżało ono na niewielkiej górze, oddalonej od dróg i ścieżek, pokryte różnymi krzewami i roślinami, że miło spojrzeć było na gąszcz zielonych pędów. Na szczycie góry stał dom z obszernym dziedzińcem pośrodku; wspaniałe komnaty, sale i krużganki tego domu malowidłami upiękkszone były. Wokół ciągnęły się pola i sady, widać było studnie pełne przezroczej wody i piwnice opatrzone w wina najwyborniejsze, które by lepiej znawcy niżli skromne białogłowy ocenić umieli. Przybysze z wielkim zadowoleniem znaleźli wszystko gotowe na ich przyjęcie. Komnaty były ochędożone i przystrojone, łoża pokryte świeżą pościelą; wszędzie rozstawiono świeże kwiaty, jakie w tej porze roku znaleźć można było.

Gdy po przybyciu na miejsce wszyscy usiedli, aby rozrywki zażyć, wesoły i krotochwilny Diogeneo rzekł do dam:

— Raczej wasz zmysł zdrowy i wasza przezorność niżli nasza wola nas tutaj przywiodły. Nie wiem, coście w myślach swoich uczynić postanowiły, co się jednak tyczy moich, to ostawiłem je za bramą miasta, gdym co dopiero koło niej przechodził. Jeżeli pragniecie śpiewać i weselić się pospołu ze mną, zapraszam was do tego, zachowując wszelkie względy waszej przystojności należne, jeżeli zaś nie, pozwólcie mi wracać z powrotem do moich myśli i do nieszczęsnego miasta.

Pampinea, która widać również wszelkich trosk swoich się pozbyła, odpowiedziała wesoło:

— Dioneo dobrze mówi. Będziemy żyły wesoło, po to bowiem z miejsca smutku uszłyśmy. Ponieważ jednak rzeczy bez ustanowionego porządku długo trwać nie mogą, ja więc, która pierwszą pobudkę do rozmów w naszym towarzystwie dałam, zalecam, gwoli zachowania wesołości naszej, abyśmy spośród siebie jakiegoś przodownika wybrali. Wszyscy go będą słuchali i w wielkim go mieli poważaniu, on zaś starać się będzie o to, aby nam czas miło upływał. Aby zaś każdy z nas troski i słodycz powszechnego uważania jednako poczuł i aby przyczyn do zawiści nie było, mniemam, że dobrze by było, gdyby ciężar ten i zaszczyt co dzień komu innemu przypadał. Pierwszego wybierzemy powszechną głosów elekcją, a ów władca wieczorem tegoż dnia następcę swego mianuje. Wybrany w czasie swego panowania będzie miał możliwość ustanowić do woli, jak i gdzie dzień spędzić mamy.

Mowę tę powszechny aplauz spotkał i natychmiast jednogłośnie Pampinę królową pierwszego dnia obwołano. Filomena, która słyszała wielokrotnie o czci, jaką wawrzynowe wyrażają liście, pobiegła duchem do laurowego krzewu, zerwała kilka gałązek, splotła z nich piękny wieńiec i włożyła go na głowę Pampinei. Od tych pór wieńiec laurowy, póki trwały te zebrania, stał się u nich starszeństwa oznaką.

Pampinea, która królową się stała, rozkazała przywołać trzech sług młodych ludzi i cztery służebnice dam i gdy wszyscy srogie milczenie zachowywali, na ten kształt mówić ją:

— Chcę wam wszystkim dobrym przykładem służyć, jak należy dbać o nasz związek, tak aby coraz lepszym się stając, mógł się utrzymać długo w porządku i wesołości, bez obrazy przystojności i naszej dobrej sławy, i dlatego mianuję sługę Dionea, Parmena, marszałkiem moim, nakładając nań obowiązek pieczy nad kuchnią i domem. Sługa Panfila, Sirisco, zostanie skarbnikiem i rachmistrzem. Tiridaro niechaj służy wszystkim trzem kawalerom, wyręczając Parmena i Siriska, którym nowy urząd tego już czynić nie pozwoli. Moja pokojowa, Misia, i służebnica Filomeny, Licisca, będą w kuchni przyprowadzały potrawy wedle Parmena rozkazu. Chimera i Stratilia, służebnice Lauretty i Fiammetty, będą obsługiwały w komnatach

naszych dam i utrzymywały w czystości miejsca zebrań naszych. Każdemu zaś wiadomym czynię, jeśli łask naszych utracić nie chce, że wzbrania mu się surowie złych wieści przynosić, co bądź i gdziekolwiek by usłyszał.

Wydawszy te rozkazania, ochotnie przez wszystkich przyjęte, królowa wstała i rzekła wesoło:

— Wabią nas okoliczne ogrody, świeże łąki i inne przyjemne miejsca, niechaj zatem każdy uda się tam, gdzie chce. O trzeciej¹ znów się zejdziemy i będziemy pożywali obiad w chłodzie.

Wesołe towarzystwo dam i kawalerów za pozwoleniem królowej udało się tedy do sadu. Poczęto przechadzać się po ogrodzie, wesołą rozmową się bawiąc, równianki kwiatów wiążąc i pieśni miłosne nucąc.

Gdy nadszedł czas oznaczony, wszyscy powrócili do domu i przekonali się, jak gorliwie Parmeno z obowiązków nań nałożonych się wywiązywał. Wszedłszy do jadalni, ujrzeni stoły zaślane śnieżnobiałymi obrusami i srebrnymi — zdało się — naczyniami zastawione oraz kwiatami janowca przybrane. Królowa rozkazała podać wodę do rąk obmycia; za czym wszyscy zajęli miejsca, ukazane im przez Parmena. Przyniesiono smakowite potrawy i wyborne wina; trzech pokojowców usługiwało do stołu. Wszystko tak znakomicie przygotowane było, że towarzystwo, pełne ukontentowania, żartując i śmiejąc się, z wielką ochotą jadło. Po obiedzie, gdy ze stołów uprzątnięto, królowa kazała muzyczne instrumenty przynieść. Niektórzy z młodzieńców (jako i z dam niektórzy) pięknie śpiewali i grali, co się zaś tyczy tańców, to płsać wszyscy umieli. Dioneo chwycił lutnię, Fiammetta wzięła wiołę i oboje do tańca zagrali. Królowa służbę na obiad odesłała, a potem z pozostałymi damami i dwoma kawalerami taniec kołowy powolnym krokiem zawiodła. Później wesołe i powabne piosenki śpiewać jęli. Na takich uciechach czas trawili, aż wreszcie królowa dała znak, że już pora na spoczynek. Wszyscy do swoich komnat się rozeszli. Młodzieńcy zastali w swoich pokojach łoża w puchy opatrzone i mnóstwo kwiatów. Damy także do komnat swoich odeszły i rozdziawszy się, odpoczynku zażywać jęły.

¹ o trzeciej – według rzymskiej miary czasu liczono czas od poranku, godzina trzecia wypadła więc przed południem.

Gdy dziewiąta godzina nadeszła, królowa powstała, obudziła damy i kawalerów, twierdząc, że zbyt długi sen w ciągu dnia zdrowiu szkodzi. Towarzystwo udało się na łąkę, wysoką i świeżą trawą porośłą i od słońca osłonioną. Tutaj w chłodzie lekkiego wietrzyka wszyscy wkoło na trawie zasiedli, jak przykazała królowa, a wówczas ona z taką mową się do nich obróciła:

— Widzicie, że słońce jeszcze na niebie wysoko i że żar jest dokuczliwy wielce; nic wokół nie słychać oprócz cykania świerszczy na oliwkach. Nierozsądną rzeczą by było teraz na przechadzkę się wybierać. Tutaj uroczno jest i chłodno! Oto szachy i szachownice, niech każdy upodobaniu swemu zadosyć uczyni. Jeśli jednak posłuchać mnie zechcecie, lepiej będzie grę tę ostanwić. Przy grze zawsze jedna strona w nieukontentowanie popada, które przyjemności przecież ani przeciwnikowi, ani przyglądającym się sprawić nie może. Gdy się jednak historie opowiada, wszyscy chętnie słuchają i skwarny czas dnia szybko przechodzi. Nie zdążymy nawet wszyscy po jednej noweli opowiedzieć, gdy słońce ku zachodowi się schyli. Wówczas pójdziemy, gdzie chęć będziemy mieli. Nie niewolę nikogo i gotowa jestem ogólnemu życzeniu się nie sprzeciwiać, jeśli jednak moje ułożenie wam się podoba, to zaraz je w czyn wcielmy, w przeciwnym razie niech każdy do wieczora czyni to, na co ma ochotę.

Damy i młodzieńcy oświadczyli się wszyscy za opowiadaniem.

— Skoro tak — rzekła królowa — to niechaj w tym pierwszym dniu każdy, jaką chce materię do opowieści wybierze.

Później, obróciwszy się łaskawie do Panfila, siedzącego obok niej po prawej ręce, kazała mu, aby swoją powiastką innym dał początek. Panfilo, słowem królowej posłuszny, zaczął swoją opowieść wśród natężonej wszystkich zebranych uwagi.

DZIEŃ PIERWSZY

Opowieść pierwsza

Spowiedź Ciappelletta

Ser¹ Cepparello, fałszywą spowiedzią zwiódłszy świętego braciszka, umiera. Za życia był hultajem co się zowie, po śmierci obwołano go świętym, mianując go świętym Ciappelletto.

— Stosowną rzeczą jest, miłe białogłowy, aby człek każdą sprawę zaczynał w święte i podziwienia godne imię Tego, kto był twórcą wszystkich rzeczy. Jako że mnie opowieści nasze zacząć przypadło, chcę tedy na początek rzec o jednym z cudów bożych, tak aby po wysłuchaniu tej przypowieści nadzieja nasza, którą w Bogu pokładamy, okrzepła, niewzruszoną się stała i aby Jego imię zawsze było wychwalane.

Wszystkie sprawy tego świata są znikome i marne, pełne wnątrz siebie i wokół trosk, trudów i goryczy i nieskończonym niebezpieczeństwom podległe. Żyjąc pośród nich i będąc ich częstką, nie moglibyśmy dać im odporu ani obronić się, gdyby szczególna łaska boska nie dodawała nam sił i przezorności. Ta łaska spływa na nas nie wskutek jakichś zasług naszych, lecz dzięki dobrodziejstwu bożemu i modlitwom tych, którzy żyjąc na świecie, z woli Boga byli śmiertelnymi, tak jak my jesteśmy, teraz zaś, dzieląc z Nim wieczność, są błogosławieni. Do nich, jako do orędowników, wiedzących przez eksperyencję o naszej słabości, obracamy się z naszymi sprawami i potrzebami, nie śmiąc zanosić próśb naszych do Najwyższego Sędzi. Co więcej, Bóg, pełen wielkiego dla nas

¹ ser – tu z włoskiego: pan, jegomość.

miłosierdzia, rozeznawa, że śmiertelnymi oczami naszymi nie możemy przeniknąć tajemnicy Jego boskiej mądrości. Nieraz przytrafia się może, że powszechnym mniemaniem omyleni, wybieramy naszym orędownikiem przed Nim tego, kto na wieczne wygnanie jest osądzony. Ale jako że dla Boga nic skrytym nie jest, tedy patrzy on bardziej na czystość myśli modlącego się niżli na jego niewiedzę i potępienie orędownika, ku któremu modlący się obracają, i wysłuchuje ich prośb, tak jakby one do błogosławionego zanesione były. Jawnie to widać z tej noweli, którą teraz wam opowiedzieć zamierzam, i jawnie, powiadam, nie wedle osądu bożego, ale ludzkiego mniemania.

„Powiadają tedy, że Musciatto Franzesi, z wielkiego i bogatego kupca we Francji stawszy się rycerzem, miał ciągnąć do Toskanii wraz z bratem króla francuskiego, Karolem bez Ziemi, przyzwanym i do przybycia nagłonym przez papieża Bonifacego. Jak to często u kupców się przytrafia, sprawy Musciatta w wielkim były zawikłaniu. Nie mogąc ich łatwo i szybko do porządku doprowadzić, umyślił polecić to różnym ludziom. Na wszystko znalazł sposób, jedna tylko wątpliwość mu pozostała: nie wiedział, komu poruczyć wydobyć długów, jakie mu się należały od różnych Burgundczyków. Dobrze wiedział zaś, że Burgundczycy są ludźmi wiarołomnymi, występnyymi i złej wiary.

Nie mógł w myślach natrafić na człeka tak szczwanego, co by się potrafił niegodziwości Burgundczyków przeciwstawić. Gdy się długo nad tym głowił, przyszedł mu nagle na pamięć niejaki ser Cepparello z Prato, który go często w jego domu w Paryżu odwiedzał. Był to człek niskiej postury i w stroju swym wielce wymuskany. Francuzi, nie wiedząc, co oznacza włoskie słowo *cepparello*, myśleli, że to *cappello*, czyli wianek, a ponieważ był niskiego wzrostu, nazwali go nie Cappello, lecz Ciappelletto; pod tym imieniem znany był wszędzie, chociaż niektórzy i wiedzieli, że się zwie Cepparello.

A owóz i jego życie: będąc notariuszem, za wielki wstyd sobie by to poczytywał, gdyby choć jeden dokument, spośród tych nielicznych aktów, które sporządzał, prawdziwym, a nie fałszywym się okazał. Fałszywych aktów dostarczał, ile kto chciał, a czynił to czasem za darmo z większą ochotą niż ten, co by za to sowitą zapłatę miał otrzymać. Świadczył

falszywie z wielkim upodobaniem, proszony lub nieproszony. W owych czasach we Francji wiara w przysięgę była niewzruszona. Toteż nie troszcząc się o to, że krzywoprzysięga, zawsze brał górę we wszystkich sprawach, które miały być jego przysięgą rozstrzygnięte. Z lubością dokładał starań, aby kłótnie wzniecać między krewniakami lub przyjaciółmi; im więcej z tych sporów nienawiści i zła płynęło, tym ukontentowanie jego większe było. Nigdy nie odmawiał, przeciwnie, ochotnie się zgadzał brać udział w morderstwach i innych zbrodniach; nieraz też własnymi rękoma ludzi mordował lub srogie rany im zadawał. Z łada powodu bluźnił Bogu i wszystkim świętym, będąc z natury człkiem porywczym wielce. Do kościoła nie chodził nigdy; plugawymi słowy szydził z wszelkich sakramentów, za to chętnie i często odwiedzał szynki, bordele i inne miejsca hańbiące. Białogłowy miłował jak pies kije, natomiast lubował się w występku przeciw naturze. Rabować i kraść znaczyło dlań tyle, co dla świętego jałmużnę dawać. Obżerał się i pił, nie dbając, że nieraz zdrowie na szwank naraża. Był także zawołanym szulerem.

Ale po cóż się nad nim w tylu słowach rozwodzę? Wystarczy powiedzieć, że był to może najgorszy człek, jaki kiedykolwiek na świat przyszedł. Władza i wpływ Musciatta przez długi czas ochraniały występniaka przed pomstą różnych osób, którym krzywdę wyrządził, a także przed sprawiedliwymi wyrokami sądów. Ów to Cepparello przyszedł na myśl panu Musciatto. Musciatto, znając doskonale jego życie, umyślił, że jest to człek ze wszech miar do wypełnienia jego zamysłów sposobny.

Przyzwał go do siebie i rzekł:

— Jak ci wiadomo, mości Ciappelletto, wkrótce stąd ze wszystkim odjechać muszę; oprócz innych pozostają mi jeszcze sprawy z tymi oszustami, Burgundczykami; wiem, że nikt nie jest od ciebie zdatniejszy do tego, aby od nich dług mój wydobyć. Niewiele teraz masz do roboty, weź na siebie tę sprawę, a ja przyrzekam ci, że będziesz się cieszył faworem sądów i że dam ci z odebranych pieniędzy część należną i sprawiedliwą.

Imć Ciappelletto w samej rzeczy nic wówczas do roboty nie miał i będę wielką znośił, widząc zaś, że jedyny obrońca i opiekun go opuszcza, bez zbytnich tedy namysłów, koniecznością przymuszony, rzekł, że chętnie służyć jest gotów.

Gdy już wszystkie warunki omówione zostały, Ciappelletto otrzymał pełnomocnictwo i glejt od króla i zaraz po odejście messera Musciatto wyruszył do Burgundii, gdzie go nikt nie znał. Tutaj, wbrew swojej naturze, zaczął łagodnie i pokornie z dłużnikami postępować, byle celu dopiąć, ostawiając sobie na koniec inne środki. Zamieszkał w domu dwóch braci, Florentczyków, którzy na lichwę pieniądze pożyczali. Przez wzgląd na pana Musciatto gospodarze w wielkim go mieli poważaniu. Zdarzyło się, że tam Ciappelletto zachorzał. Bracia zraz przyzwali medyków i sługi, aby go mieli na pieczy i czynili wszystko, by mu zdrowie przywrócić. Jednakże wszelki ratunek daremny się okazał. Pocziwina był już stary, a przy tym zdrowie miał nadwątlone hulaszczym trybem życia; według orzeczenia medyków z każdym dniem musiało mu się pogarszać, jako człekowi na nieuchronną śmierć skazanemu. Dwaj bracia wielce się tym trapili. Pewnego dnia, znajdując się w izbie przyległej do komnaty, w której Ciappelletto chory leżał, zaczęli mówić z sobą w te słowa:

— Co mamy począć z tym członkiem? — spytał jeden drugiego. — Zaiste, nie mały kłopot nam sprawił. Wydalić go teraz z naszego domu, tak ciężko chorego, byłoby to dla nas hańbą i dowodem niewielkiego rozumu. Ludzie widzieli przecież, żeśmy go przyjęli, gościli, a potem i leczyć troskliwie kazali, teraz zaś mieliby ujrzyć, że wypędzamy go z domu śmiertelnie chorego, chociaż nam nic złego uczynić nie mógł.

Z drugiej strony jest to taki hultaj, że, ani chybi, nie będzie się chciał wypowiadać ani przyjąć ostatnich sakramentów. Gdy umrze bez spowiedzi, żaden kościół jego ciała nie przyjmie. Jak zdechłego psa wrzucą go do pierwszego lepszego dołu. Gdyby się jednak i wypowiadał, to grzechy jego są tak wielkie i straszne, że nie znajdzie się taki ksiądz lub braciszek, co by go mógł rozgrzeszyć. Nie otrzymawszy zaś rozgrzeszenia, równie do jamy wrzucony będzie. Jeśli tak się stanie, lud tutejszy, który, nienawidząc profesji przez nas sprawowanej, źle o nas mówi i tylko czeka sposobności, aby nas ograbić, powstanie przeciwko nam z okrzykiem: »Nie ścierpimy tutaj dłużej tych psów lombardzkich, od których nawet kościół się odwrócił!«.

Napadną na nasze domy i nie tylko dobra nasze złupią, ale jeszcze i życia nas pozbawić mogą. Tak więc czy inaczej, na przypadek jego śmierci źle z nami będzie.

Ser Ciappelletto, który leżał niedaleko od miejsca ich rozmowy, mając słuch wyostrojony, jak to się często u chorych zdarza, słyszał wszystko, co dwaj bracia mówili. Za czym przywołał ich i rzekł:

— Nie chciałbym wam niepokoju sprawiać i szkód przyczyniać. Słyszałem, coście o mnie mówili, i jestem pewien, że nastąpiłoby to, czego się obawiacie, jeśliby rzeczy poszły tym trybem, jakieście przypuszczali. Jednakże będzie inaczej. W ciągu mego życia tyle nagrzeszyłem przeciwko Bogu, że teraz, w godzinie śmierci mojej, jeden grzech więcej żadnej różnicy nie sprawi. Przyzwijcie do mnie najbardziej świątobliwego mnicha, jeśli taki się znajdzie, i ostawcie mi swobodę działania, a ja wasze i moje sprawy taką modłą uładzę, że wszystko dobry obrót weźmie, ku waszemu ukontentowaniu.

Dwaj bracia, chociaż niewielką ufność w jego słowa pokładali, jednakże udali się do klasztoru i poprosili, aby któryś z mądrych i świętych mnichów wypowiadał Lombardczyka leżącego na łożu niemocy w ich domu. Dano im mnicha sędziwego, słynącego z świątobliwości żywota i w Piśmie Świętym wielce zawołanego. Ten człek czcigodny cieszył się szczególnie wielką estymą wszystkich mieszczan.

Wszedłszy do komnaty, w której ser Ciappelletto leżał, siadł na jego łożu i z początku jął go łagodnie pocieszać, później zaś zapytał, kiedy ostatni raz się był spowiadał. Na to Ciappelletto, który nigdy, jako żywo, do spowiedzi nie przystępował, odparł:

— Jest moim obyczajem, ojcze, spowiadać się przynajmniej raz na tydzień, jednakże były mnogie tygodnie, gdy to częściej czyniłem. Ale wyznać muszę, że od czasu gdy zachorowałem, już osiem dni przeszło bez spowiedzi, tyle bowiem cierpienia mi ta boleść przyczyniła.

Na to mnich odparł:

— Dobrze czynił, mój synu, i na przyszłość czyn takież. Widzę, że niewiele trudu będę miał z wysłuchiowaniem cię, skoroś tak często się spowiadał.

Ser Ciappelletto rzecze:

— Nie mówcie tak, mój ojcze! Nie spowiadałem się nigdy bez tego, abym na każdej spowiedzi nie miał przypomnieć sobie i wyznać wszystkich grzechów, popełnionych od dnia mego urodzenia

aż do dnia spowiedzi. Dlatego też proszę was, ojcze wielbny, abyście o każdą rzecz szczegółowo się wypytali, tak jakbym nigdy się nie był spowiadał, nie zważając przy tym wcale na to, że jestem chory. Wolę raczej udręczyć mój zewłok cielesny niżli, folgując mu, narazić na zgubę duszę moją, odkupioną drogocenną krwią Zbawiciela.

Słowa te wielce przypadły do smaku wielbnemu ojcu, gdyż zdały mu się oznaką świątobliwego stanu duszy. Pochwaliwszy Ciappelletto za jego dobry obyczaj, zapytał się go, czy się rozpustą z jaką białogłową nie splugawił.

Ser Ciappelletto odparł z westchnieniem:

— W tej materii, wielbny ojcze, wstydzę się wyznać prawdę, obawiając się, abym nie popadł w grzech chępliwości.

— Mów śmiało, mój synu — rzecze mnich — nikomu za grzech nie było jeszcze poczytane wyznanie prawdy, czy to na spowiedzi, czy gdzie indziej.

— Z tym zapewnieniem — odparł Ciappelletto — wyznam wam całą prawdę. Jestem do tych pór jeszcze tak dziewiczy, jak wówczas, gdy wychodziłem z żywota matki mojej.

— O, niechże Bóg cię błogosławi! — zawołał mnich. — Jakżeś znacznie sobie poczynił! Zasługa twoja jest tym większa, że mogłeś czynić przeciwnie, z większą swobodą niżli my i ci wszyscy, co surowym re-
gułom są poddani.

Później ojciec wielbny zapytał go, czy zbytnim obżarstwem przeciwko Bogu nie zgrzeszył. Na to Ciappelletto z głębokim westchnieniem odparł, że siła razy tak zawinił. Prawda, że oprócz Wielkiego Postu, który ludzie nabożni każdego roku zachowują, przywykł jeszcze do postów o chlebie i wodzie trzy razy w tygodniu, jednakże pił tę wodę z taką lubością i tak chciwie, jak pijacy wino piją, osobliwie gdy się czuł utrudzonym pielgrzymkami do miejsc świętych lub ćwiczeniami nabożnymi. Oprócz tego nieraz przychodziła mu chętka na sałatę z traw, jaką przyrządzają kobiety na wiejskich wywczasach. Jadł ją nieraz z większym ukontentowaniem, niż to przystoi człekowi, który pości dla bojaźni bożej.

— Bracie mój — rzecze mnich — wszystko to są grzechy lekkie i płynące z natury naszej. Nie udręczaj zatem nimi sumienia swego więcej niż potrzeba. Nawet najświętszemu człękowi wybaczyć należy, jeśli po długim poście w jedzeniu smak znajduje, a po wielkim utrudzeniu wodę pije z ochotą.

— Ach, mój ojczcie! — zawołał Ciappelletto. — Nie powiadajcie mi tego na pocieszenie! Wiem o tym dobrze, jako i wy wiecie, że ten, kto chce służyć Bogu, winien tę służbę sprawiać w czystości myśli i bez nijakiej zmaży; kto zaś inaczej czyni, grzeszy.

Mnich, wielce ukontentowany, rzekł:

— Raduję się, że tak myślisz, i chwałę czystości sumienia twego. Powiedz mi jednak, czyś chciwością nie grzeszył i nie żądał więcej, niż się należało, albo też czyś nie owładał dobrem cudzym?

— Nie sądz o mnie źle, ojczcie — odparł Ciappelletto — widząc mnie w domu tych lichwiarzy. Nie mam z nimi nic wspólnego; przeciwnie, przybyłem tutaj, aby ich zawstydzić, ukarać i odwieść od tego bezecnego rzemiosła. Mniemam, że byłoby się mi to i udało, gdyby Bóg niemo-cy na mnie nie spuścił. Musicie wiedzieć, mój ojczcie, że po śmierci ojca mego stałem się bogatym człowiekiem. Znaczną część jego majątności rozdałem na zacne cele, Bogu na chwałę, później, aby siebie utrzymać i móc dopomagać ubogim chrześcijanom, zająłem się małym hande-kiem, chcąc pieniędzy sobie przysporzyć. Wszystko, co zarobiłem, dzie-liłem na dwie części, połowę oddawałem biedakom, a drugą obracałem na swoje potrzeby. Bóg mi pomagał i sprawy moje szły z dnia na dzień coraz to lepiej.

— Doskonale czyniłeś, zaiste — rzekł mnich — ale powiedz mi, czyś się nigdy gniewem nie zapalał?

— Mówiąc prawdę — odparł Ciappelletto — nader często się to zda-rzało. Któż jednak może swój gniew zdzierżyć, widząc codziennie, jak ludzie występki popełniają, przekraczają przykazania boskie i nie boją się sądu Boga. Nieraz wolałbym być raczej umrzeć niż patrzeć, jak mło-dzieńcy marnym rzeczom świata tego hołdują, jak przysięgają i fałszy-wie świadczą, i jak zamiast kościołów odwiedzają szynki, wybierając nie drogi boże, lecz drogi doczesnego świata.

— Sprawiedliwy jest to gniew, mój synu — rzekł mnich — i nie mógłbym zań na ciebie pokuty nałożyć. Ale czy przypadkiem gniew nie zrobił cię tak zapamiętałym, żeś posunął się aż do morderstwa, uczynienia komuś niesprawiedliwości lub zelżenia bliźniego twego?

— Ach, ojciec wielbny — zawołał Ciappelletto — zdajecie mi się być świątobliwym człkiem, a takie rzeczy powiadacie! Gdyby mi choć na myśl przyszło uczynić jedną z tych rzeczy, o jakich mówicie, czyżby mnie Bóg tak długo na świecie utrzymał? Do takich postępków zdolni są tylko łotrzy i morderce. Gdy takiego grzesznika ujrzałem, zawsze mówiłem mu: »Idź i niech cię Bóg na prawą drogę sprowadzi«.

— Rzeknij mi teraz, synu mój (oby ci Bóg błogosławił), czyś nie świadczył fałszywie o bliźnich swoich, czyś nie obmówił nikogo lub nie przywłaszczył sobie cudzego dobra bez zgody i woli posiadacza?

— Tak, ojciec — odparł Ciappelletto — mawiałem źle o innych. Miałem niegdyś sąsiada, który bez żadnej przyczyny bił nieustannie swoją żonę. Jednego razu taka litość mnie zdjęła nad tą nieszczęśliwą, biłą ciągle a okrutnie przez pijaka, że wiele złego powiedziałem nań do krewniaków jego żony.

— Powiedziałeś mi — rzekł mnich — żeś się handlem parał. Czyś nie oszukał kogoś, jak to często kupcy czynią?

— Na mą duszę, ojciec — zawołał Ciappelletto — muszę wyznać, że tak! Zdarzyło się pewnego razu, iż jeden człek oddał mi należność za sprzedany postaw sukna, a ja, nie licząc, rzuciłem pieniądze do skrzyni; po miesiącu spostrzegłem, że było tam o cztery grosze za dużo. Przechowałem je przez cały rok, chcąc mu je zwrócić, ponieważ jednak właściciel się nie zjawił, więc rozdałem te grosze ubogim.

— Błaha to jest rzecz, mój synu — odparł mnich. — Uczyniłeś tak, jak uczynić należało.

Mnich pytał się jeszcze o wiele rzeczy, a na pytania te Ciappelletto w podobny sposób odpowiadał. Gdy już chciał mu rozgrzeszenia udzielić, Ciappelletto rzekł:

— Mam jeszcze jeden grzech, ojciec, o którym wam nie powiedziałem. Przypominam sobie, że kiedyś, w sobotę wieczorem, po dziewiątej godzinie, kazałem służącemu zamieść podłogę w domu, przez co uchybiłem świętej niedzieli.

— Niewielki to grzech, mój synu — odparł mnich.

— Nie mówcie tak, mój ojcie, niedzielę, jako dzień święty, wielce czcić należy, w dniu tym bowiem nasz Zbawiciel zmartwychwstał.

— Czy popełniłeś jeszcze jaki grzech? — zapytał mnich.

— Tak, ojcie — odparł Ciappelletto. — Raz w kościele bożym przez brak baczenia splunąłem.

Mnich zaczął się śmiać i rzekł:

— Nie dręcz się tym, mój synu! My, którzy jesteśmy zakonnikami, cały dzień w kościele spluwamy.

— I bardzo źle czynicie, gdyż niczego tak w czystości utrzymywać nie należy, jak kościoła, w którym się Bogu cześć oddaje.

Jeszcze siła podobnych rzeczy naopowiadał mnichowi, wreszcie zaczął wzdychać ciężko i gorzko płakać (a był w tym wszystkim mistrzem zawołanym).

— Co ci się stało, mój synu? — zapytał mnich.

— Biada mi, ojcie wielebny — odparł ser Ciappelletto. — Jeszcze mi zostaje jeden grzech, z któregoś się nigdy nie wypowiadał, tak się go bowiem wstydę okrutnie. Ilekroć go sobie przypominę, płaczę, jako to teraz widzicie. Wydaje mi się, że dla tej winy Bóg nie będzie miał dla mnie miłosierdzia.

— Co mówisz, mój synu? — rzekł mnich. — Gdyby wszystkie grzechy, jakie kiedykolwiek ludzie popełnili albo jeszcze popełnią, dopóki świat trwa, w jednym człoku się skupiły i gdyby ten grzesznik tak się skruszył jak teraz ty, to miłosierdzie boże jest tak wielkie, że przy spowiedzi wszystko byłoby mu odpuszczone. Mów zatem śmiało.

Wówczas ser Ciappelletto rzekł, płacząc gorzko:

— Grzech mój, wielebny ojcie, jest tak wielki, że wątpię, aby mi go Bóg odpuścił, choćbyście się i wstawili za mną swymi modlitwami.

— Mów śmiało — odparł mnich — przyrzekam ci, że będę błagał Boga za tobą.

Ser Ciappelletto, ciągle płacząc, nie mógł wymówić jednego słowa, chociaż go mnich nieustannie pocieszał. Wreszcie gdy już kęs czasu mnicha w takiej niepewności trzymał, westchnął ciężko i rzekł:

— Ponieważ obiecaliście mi, ojcze, modlić się za mną do Boga, wyznam wam więc mój grzech. Wiedźcie, że raz, gdy jeszcze byłem dzieckiem, przekląłem rodzoną matkę moją.

Rzekłszy to, znów obfitymi łzami się zalał.

— Czy, synu mój — rzekł mnich — grzech ten za tak ciężki poczytujesz? Ludzie bluźnią przez cały dzień Bogu, a Bóg przebacza chętnie bluźniercy, który się skruszył. Czy sądzisz, że ci Stwórca tej winy nie odpuści? Osusz łzy i pociesz się. Gdybyś był nawet jednym z tych, co Zbawiciela ukrzyżowali, to On, widząc twoją skrucę, na pewno by ci przebaczył.

— Cóż wy mówicie, ojcze wielebny! — zawołał Ciappelletto. — Przekląć drogą matkę, która mnie przez dziewięć miesięcy dniem i nocą w żywocie nosiła, a później niezliczoną ilość razy na rękach, jakże ciężkim jest grzechem! Jeżeli nie będziecie, ojcze, błagali za mną Boga, Bóg mi nigdy tego nie przebaczy.

Mnich, widząc, że Ciappelletto nic więcej do wyznania nie ma, udzielił mu abszolucji i dał mu błogosławieństwo, będąc upewniony, że jest on świętobliwym człowiekiem; wierzył bowiem niezachwianie, że wszystkie jego słowa są szczerą prawdą. Któż by zresztą nie uwierzył, słysząc człeka tak mówiącego na łożu śmierci!

— Przy boskiej pomocy — rzekł mnich — wkrótce wyzdrowiejesz, Ciappelletto. Gdyby się jednak zdarzyło, że Bóg twoją pobłogosławioną i dobrze przygotowaną duszę do siebie powoła, czybyś zezwolił, aby ciało twoje w naszym klasztorze pogrzebione zostało?

— O tak, mój ojcze — odparł Ciappelletto — i nie chciałbym być pochowanym gdzie indziej, przyrzekliście mi bowiem modlić się za moją duszę; przy tym miałem zawsze cześć osobliwą dla waszego zakonu. Teraz zaś proszę was, abyście, wróciwszy do klasztoru, przysłali mi tu bez zwłoki najświętsze ciało Chrystusowe, pobłogosławione dziś rankiem na ołtarzu. Chociaż niegodny jestem, pragnę za waszym pozwoleniem je przyjąć, a potem i ostatniego namaszczenia dostąpić, abym, choć żyłem jak grzesznik, umarł, jak na prawego chrześcijanina przystało.

Świątobliwy braciszek pochwalił go i zapewnił, że wkrótce wszystko mu zostanie dostarczone. Tak się też i stało. Tymczasem dwaj bracia, mocno niepewni, czy ich Ciappelletto przypadkiem zwieść nie chce,

ukrywszy się za przepierzeniem, które komnatę chorego od sąsiedniej izby dzieliło, wysłuchali łatwo wszystkiego, co Ciappelletto do braciszka mówił. Słyszając o grzechach, z których się spowiadał, po wiele razy o mały włos śmiechem nie wybuchnęli.

— Cóż to za człek — mówili do siebie — którego ani starość, ani choroba, ani strach przed bliską śmiercią czy przed Bogiem, przed sądem którego ma wkrótce stanąć, nie mogą odwieść od niegodziwości i do tego przywieść, aby umarł inaczej, niżli żył. — Jednakże uznawszy, że po tych wyznaniach kościół przyjmie jego ciało, nie troskali się już o resztę. Ser Ciappelletto przyjął wnet komunię świętą, a potem i ostatnie namaszczenia, ponieważ znacznie gorzej mu się uczyniło. Wieczorem tego dnia, w którym się cnotliwie spowiadał, umarł. Dwaj bracia, rozporządziwszy jego mieniem, przeznaczili uzyskane pieniądze na przystojny pogrzeb i posłali do klasztoru, prosząc braci, aby przybyli wieczorem odprawić, wedle obyczaju, wigilie, a rankiem drugiego dnia ciało zabrali. Świątobliwy mnich, który Ciappelletta był spowiadał, usłyszawszy o jego śmierci, odbył naradę z przeorem, później zaś biciem w dzwony przywołał wszystkich mnichów znajdujących się w klasztorze i oznajmił im, że ser Ciappelletto był człowiekiem świątobliwym, jak to dowodnie widać z tego, co na spowiedzi wyznał. Wierząc głęboko, że Bóg za jego sprawą niejeden wielki cud uczynić może, łatwo przekonał mnichów, że ciało zmarłego przyjąć należy uroczyście i z wielką czcią.

Łatwowierni bracia wraz z przeorem zgodzili się na to. Wieczorem udali się wszyscy do domu, w którym ciało Ciappelletta spoczywało; odprawili nad zwłokami uroczyste wigilie, a nazajutrz rano, ubrani w komże i kapy, z książkami w rękach, poprzedzani krzyżem, śpiewając modły, zabrali ciało i z wielką pompą ponieśli je do swego kościoła. Za tym orszakiem szli mężczyźni i białogłowy; wyległa prawie cała ludność miasta. Gdy mary postawiono w kościele, mnich, który zmarłego był spowiadał, wszedł na kazalnicę i począł powiadać cudowną historię o jego życiu, postach, czystości, niewinności i świątobliwości. Między innymi opowiedział to, co mu Ciappelletto, płacząc, jako swój największy grzech wyznał, i jak on ledwo go zdołał przekonać, że mu Bóg przebaczy. Potem zwrócił się do zebranych i gromiąc ich a strofując, rzekł:

— A wy, od Boga przekłęci, z powodu lada słomki, co wam pod nogi padnie, bluźnicie Bogu, Najświętszej Pannie i całemu dworowi niebieskiemu!

Oprócz tego siła jeszcze prawił o prawości i niewinności nieboszczyka. Słowa te, którym cały lud uwierzył, wielki skutek sprawiły, tak że po skończonym nabożeństwie wszyscy co do jednego rzucili się całować ręce i nogi nieboszczyka; porwano przy tym na nim suknie, a każdy, kto posiadał choćby strzępek materii, już się za szczęśliwego poczytywał. Ciało było wystawione przez cały dzień w kościele, tak aby każdy mógł je odwiedzać i oglądać. Gdy noc zapadła, złożono nieboszczyka do marmurowego grobu i pochowano uroczyście w kaplicy. Następnego dnia lud zaczął odwiedzać jego grób, zapalać świece, śluby czynić i stosownie do ślubów wota woskowe zawieszać.

Sława jego świętości tak wzrosła, że prawie nikt w potrzebach i ucistkach swoich do innego świętego się nie uciekał. Nazwali go, jako i teraz zowią: świętym Ciappelletto, utrzymując, że Bóg wielkie cuda przez niego uczynił i nadal czyni każdemu, co z osobnym nabożeństwem do Ciappelletta się obraca”.

Tak tedy żył i umarł ser Cepparello z Prato, który stał się świętym, jakoście to słyszeli. Nie chcę twierdzić, iżby nie mógł zbawienia w obliczu Boga dostąpić, chociaż bowiem życie jego było występne i plugawie, to przecież w ostatniej godzinie, pokajawszy się i skruszywszy, mógł miłosierdzia boskiego zaznać i do raju przyjęty zostać. Ale jako że wszystko to jest dla nas tajne, tedy sądzę po tym, co dostępne jest oczom naszym, że raczej znajduje się w rękach szatana niż w raju. Jeśli tak jest, uznać musimy, że nieskończona jest wobec nas dobroć Boga, który patrzy nie na błędy nasze, lecz na czystość naszej wiary. Czynimy naszym orędownikiem wroga bożego, mniemając, że jest on Bogu miły, a Bóg nas wysłuchuje, jakbyśmy do prawdziwego świętego modły zanosili. Aby łaska boska, w tym wesołym towarzystwie i pośród losów dzisiejszych przeciwności, zdrowych i całych nas zachować mogła, wychwalajmy Jego imię, które położyliśmy na wstępie tej powieści, i w potrzebach naszych do Niego się uciekajmy, pewni, że wysłuchani będziemy. Tu opowiadający mowę swoją zakończył.

Opowieść druga

Podróż Abrahama z Paryża do Rzymu

Abraham, Żydowin, zachęcony do podróży przez Giannotta di Civigni, udaje się do Rzymu. Ujrzawszy zepsucie kleru, wraca do Paryża i staje się chrześcijaninem.

Opowieść Panfila została pochwalona przez białogłowy, które, słuchając jej, często śmiechem wybuchały. Gdy już opowiadanie, z wielką uwagą słuchane, do końca doprowadzone zostało, królowa siedzącej obok Panfila Neifle rozkazała opowiedzieć nową historię, według ustanowionej kolei. Dama ta, równie piękną, jak dwornymi obyczajami ozdobiona, z radością na to żądanie przystała i zaczęła na ten kształt:

— Panfilo w swojej opowieści ukazał nam, że miłosierdzie boże nie liczy nam błędów naszych, gdy one z nieświadomości naszej wypływają, ja natomiast w swojej opowieści pragnę pokazać, iż miłosierdzie to z cierpliwością znosi grzechy tych, którzy swymi uczynkami i słowami będąc obowiązani jawnym świadectwem mu służyć, wcale przeciwnie postępują. Tą drogą Bóg daje dowody niezachwianej prawdy, abyśmy z większą duszy stałością szli za tym, w co wierzymy.

Słyszałam kiedyś, miłe towarzyszeki, taką opowieść: „Mieszkał ongiś w Paryżu bogaty kupiec i człek zacny, Giannottem di Civigni zwany. Był to człek sprawiedliwy i uczciwy; zajmował się rozległym handlem sukniami. Wielka przyjaźń łączyła go z bogatym Żydem, zwanym Abrahamem, który także się kupiectwem parał, a był

człkiem równie uczciwym i zacnym. Giannotto, widząc przymioty przyjaciela, wielce nad tym bolał, że dusza tak mądrego i dobrego człeka, dzięki błędom jego wiary na potępienie wieczne skazana zostanie. Dlatego też jął go prosić dobrotliwie, aby porzucił błędy wiary żydowskiej i wiarę chrześcijańską przyjął, która (jak to sam dowodnie widzi) dzięki swojej świętości i prawdzie ciągle się rozpowszechnia i kwitnie, gdy tymczasem jego wiara coraz bardziej zanika, tak iż wreszcie wniwecz rozwiąć się może. Żyd odparł, że oprócz wiary żydowskiej żadnej innej za dobrą i świętą nie uznaje, że zamierza umrzeć w tej, w której się narodził i wzrósł, że nie ma takiej siły, co by go od niej odwrócić mogła. Odpowiedź ta nie odwiodła Giannotta od tego, aby po kilku dniach nie obrócił się do swego przyjaciela z podobną mową, starając mu się dowieść na nadto grubych przykładach (jak to nieraz kupcy czynić umieją), dla jakich to racyj nasza wiara jest lepsza od żydowskiej.

A chociaż Żydowin był w rzeczach wiary żydowskiej mistrzem zawołanym, przecież przyjaźń wielka, którą do Giannotta żywił, a może i słowa, włożone w usta tego prostego człeka przez Ducha Świętego, to sprawiły, że Żydowinowi wielce do smaku dowody Giannotta przypadać poczęły. Przecież jednak w wierze swojej błędliwej nadal trwał z uporem.

Im bardziej się w swoim uporze zaciął, tym więcej na niego Giannotto nastawał, aż wreszcie Żydowin, uległszy jego natarczywym prośbom, rzekł:

— Chcesz, Giannotto, abym wiarę chrześcijańską przyjął? Ja się od tego nie uchylam. Jednakże przedtem chcę się udać do Rzymu, obaczyć tego, którego ty namiestnikiem bożym na ziemi zowiesz, zważyć jego postęпки i obyczaje, a także życie jego braci kardynałów. Jeśli wydadzą mi się takimi, że wedle ich życia sądząc, poznam, iż wiara twoja jest lepsza od naszej, jak to starałeś się mi dowieść, uczynię to, com przyrzekł. Jeśli nie, pozostanę nadal Żydem.

Giannotto, usłyszawszy o tym jego postanowieniu, wielce się strapił i rzekł do siebie: »Stracone są wszystkie moje zachody i trudy, których nie szczędziłem, aby go do przyjęcia chrześcijaństwa nakłonić, co zda-

wało się być rzeczą bliską. Pojedzie do Rzymu, obaczy na własne oczy, jak plugawe i występne życie księża wiodą, i nie tylko wiary naszej nie przyjmie, ale nawet gdyby i chrześcijaninem został, na judaizm powróciłby». Obrócił się tedy do Abrahama i rzekł:

— Po cóż chcesz przedsiębrać tak uciążliwą i kosztowną podróż do Rzymu? Na tak bogatego człeka jak ty czyha tysiąc niebezpieczeństw na ziemi i na morzu. Czy nie znajdziesz tu kogoś, kto by cię ochrzcił? Jeżeli zaś żywisz jakieś wątpliwości co do wiary, którą ci wykładam, gdzie znajdziesz mądrzejszych i światlejszych ludzi jak tu? Dadzą ci oni wszelkie objaśnienia. Według mnie zatem ta twoja podróż wcale potrzebna nie jest. Pomyśl, że prałaci w Rzymie są podobni do tych, których tu widzisz, a może i świątobliwsi, jako że żyją w pobliżu najwyższego pasterza. Zachowaj swoje siły na inny raz, do czasu pielgrzymki po miejscach świętych, w której może i ja towarzyszyć ci będę.

— Wierzę, Giannotto — odparł Żydowin — że racja jest po twojej stronie, ale jeśli chcesz, abym spełnił to, o co mnie prosisz, to powiem ci w dwóch słowach, iż muszę jechać. W przeciwnym razie nic nie uczynię.

Giannotto, uznawszy jego twarde postanowienie, rzekł:

— Jedź zatem; szczęśliwej drogi ci życzę.

Pomyślał przy tym, że Żydowin, ujrawszy dwór papieski, nigdy już chrześcijaninem się nie stanie. Jednakże, nic na tym nie tracąc, już mu nie doradzał, aby pozostał.

Żydowin dosiadł rumaka i pośpieszył do Rzymu, gdzie przez Żydów z wielką okazałością przyjęty został. Przebywając w mieście, nie zdradzał się przed nikim, po co tu przybył, a tylko w tajemnicy śledził życie papieża, prałatów i kardynałów, i całego papieskiego dworu.

Jako człek bystry, niejedno sam spostrzegł, a i wiele od drugich узнаł. Z tego wszystkiego wniósł, że każdy ksiądz, od najmniejszego do największego, rozpustą grzeszy i hołduje nie tylko naturalnej rozkoszy, ale i sodomskiej, nie znając hamulca, wyrzutów sumienia i wstydu. Dzięki przemożnemu wpływowi nierządnic i młodzieniaszków nie lada rzecz można było w Rzymie uzyskać. Obaczył także, że

wszyscy są żarłokami i pijanicami, że na kształt dzikich zwierząt jeno brzuchom swoim służą, nie mówiąc już o rozpuszcie. Jeszcze baczniej się im przyjrzawszy, poznał, że są skąpi i tak na grosz chciwi, że nie wstydzą się kupczyć wszystkim, poczynając od krwi ludzkiej, nawet chrześcijańskiej, a kończąc na rzeczach świętych, odpustach i beneficjach. Kupując i sprzedając, większy handel prowadzą i liczniejszych mają pośredników niż w Paryżu kupcy sukna i innych towarów. Jawną symonię ochrztili mianem »zastępstwa«, a obżarstwo ukryli pod skromną nazwą »pokrzepienia sił«, tak jakby Boga można było oszukać znaczeniem tych słów i jakby On nie widział plugawych intencji ich niskich dusz. Mniemali, widać, że Bóg, tak jak ludzie, imieniem rzeczy da się okłamać. Wszystkie te rzeczy, a także i te, o których zmilczeć należy, nie podobały się wielce Żydowi, człekowi umiarkowanemu i obyczajnemu. Zdało mu się, że już dość widział, postanowił tedy do Paryża powrócić; tak też uczynił. Giannotto, dowiedziawszy się o jego powrocie, udał się do niego, straciwszy już wszelką nadzieję na to, aby Żydowi chciał chrześcijaństwo przyjąć. Spotkali się pełni ukontentowania i wielkiej radości.

Po kilku dniach odpocznienia Giannotto zapytał się go, co myśli o ojcu świętym, kardynałach i innych dworakach.

Żydowi odpisał:

— Wydaje mi się, że Bóg źle czyni, łaskawością swoją ich darząc. Powiem ci, iż jeśli dobrze zważać i sądzić umiałem, w żadnym księdzu nie znalazłem ani krztyny świętości, pobożności czy przykładu godnego naśladowania. Rozpusta, chciwość, obżarstwo, wiarołomstwo, zawiść, pycha i inne gorsze występki (jeśli sobie można tylko gorsze wystawić) tak im weszły w obyczaj, że dwór papieski jest dla mnie raczej kuźnią diabelskich poczynań niż dzieł świętych. Według mego mniemania, wasz pasterz najwyższy, jako i wszyscy jego duchowni, z wielką pilnością a staraniem i umiejętnością chcą religię chrześcijańską poniżyć i z oblicza świata ją zetrzeć, chocia winni przecież być jej wsporem i obroną. A jako że, mimo tych ich wysiłków, wasza wiara coraz bardziej się rozpowszechnia i coraz jaśniejszą i doskonalszą się staje, tedy musiał Duch Święty w nią wstąpić, aby stanęła wyżej

od wszystkich wiar świata. Dlatego też, jeśli dawniej głuchy byłem na twoje prośby i nie chciałem chrześcijaństwa przyjąć, to teraz mówię ci jawnie, że nic nie będzie w stanie mnie od tego powstrzymać. Chodźmy zatem do kościoła, pragnę przyjąć chrzest zgodnie z obyczajem waszej świętej wiary.

Giannotto, który spodziewał się całkiem przeciwnego postanowienia, usłyszawszy te słowa, stał się najszcześniejszym na ziemi człowiekiem. Udał się z Żydem do kościoła Najświętszej Marii Panny w Paryżu i poprosił księży, aby obrządku chrztu nad Abrahamem dopełnili. Prośbie tej zaraz było uczynione zadość. Giannotto był jego ojcem chrzestnym. Nawrócony imię Jana otrzymał. Później Giannotto polecił go światłym ludziom, którzy go wkrótce w rzeczach wiary świętej całkowicie wyćwiczyli. Jan zasłynął też później jako człek wielce zacny i świątobliwy”.

Opowieść trzecia

Trzy pierścienie

*Melchisedech, Żydowin, opowieścią o trzech pierścieniach
salwuje się z niebezpieczeństwa, jakie mu Saladyn gotował.*

Gdy opowieść Neifile, przez wszystkich chwalona, do kresu dobiegła, zgodnie z wolą królowej mówić zaczęła Filomena:

— Nowela Neifile przypomniała mi niemiły przypadek, który się zdarzył pewnemu Żydowi. Ponieważ o Bogu i o prawdzie naszej wiary już dość rzeczone zostało, wydaje mi się teraz nie od rzeczy zstąpić ku przypadkom i dziełom ludzkim. Wysłuchawszy mojej opowieści, może ostrożniej odpowiadać będziemy na stawiane nam pytania. Należy, abyście wiedziały, drogie przyjaciółki, że głupota nierzadko odbiera człowiekowi wszelkie dobro i w wielkie nieszczęścia go wtrąca, gdy tymczasem mądrość z największych niebezpieczeństw wyprowadza i do spokojnego a błogosławnego stanu przywodzi. Przykładów na to, że głupota pozbawia nas szczęścia i do srogich mizeryj doprowadza, istnieje mnóstwo, jednakże o nich tutaj rozpowiadać nie będę, widać je bowiem jawnie z tysiąca codziennych zdarzeń. W krótkiej mojej opowieści ukazać tylko, jak to rozum wybawić nas może z pułapki.

„Saladyn, który dzięki swej osobistej dzielności nie tylko z człeka nikczemnego stanu na tron Babilonu się wyniósł, ale i siłą królów tak chrześcijańskich, jak i saraceńskich zwyciężył, roztrwonił swój skarbiec na częste wojny i niesłychany zbytek. Zdarzyło się, że potrzebował pilnie większej sumy pieniędzy, a nie wiedząc, skąd by ją tak nagle wydestać,

przypomniawszy sobie o bogatym Żydowinie, zwanym Melchisedechem, który w Aleksandrii na lichwę pożyczał. Pomyślał Saladyn, że ten mógłby mu, gdyby tylko chciał, przyjść z pomocą; ponieważ jednak znał jego skąpstwo, więc nie bardzo wierzył, aby mu po dobrej woli usłużył, gwałtem zaś przymuszać go nie chciał. Nagłony potrzebą, jął Saladyn przemyślać, jak by tę sprawę z Żydowinem ułatwić, aż wreszcie postanowił użyć gwałtu, ale tą modłą, aby miał on pozór słuszności.

Kazał przywołać Żyda, przyjął go serdecznie, posadził obok siebie i rzekł:

— Od wielu ludzi słyszałem, mężu zacny, że jesteś wielkim mędrce-
cem i w rzeczach wiary osobliwie wyćwiczonym, dlatego też chciałem
się dowiedzieć od ciebie, która z trzech wier jest najlepsza: żydowska,
saraceńska czy chrześcijańska?

Żydowin, który w samej rzeczy był mądrym człowiekiem, wraz
spostrzegł, że Saladyn chce go pochwycić za słowa, oczywiście nie bez
ukrytej myśli; pojął zatem, że gdyby którejkolwiek z tych trzech wier
wyższość przyznał, władca swój zamierzony cel osiągnie. Skupił umysł
jak ten, kto do odpowiedzi przynaglony nie chce się dać przyłapać na
niej, i zaraz umyślił, jaką mu odpowiedź dać należy.

— Panie mój i władco — rzekł — zadaliście mi ważne pytanie; abym
mógł jednak mój sąd wyrazić, muszę wam powtórzyć pewną opowieść.
Przypominam sobie, o ile mnie pamięć nie zwodzi, że nie raz słyszałem
o jednym bogatym i znacznym człeku, który między innymi klejnotami
posiadał w swym skarbcu szacowny i piękny pierścień. Aby jego wartość
i piękność należycie uczcić i na wieczność ostawić go swoim potom-
kom, rozkazał, by ten z jego synów, w posiadaniu którego pierścień ów
się znajdzie, za dziedzica uchodził, był za głowę rodu poczytywan i jako
taki uważany i czczony. Spadkobierca pierścienia podobnie z potomka-
mi swymi postąpił jak jego poprzednik. Pierścień przechodził z rąk do
rąk, aż wreszcie dostał się człekowi, który miał trzech urodziwych, cno-
tliwych i posłusznych jego woli synów; dla tej przyczyny równą miłością
ich darzył. Młodzieńcy, którzy wiedzieli o tym zwyczaju z pierścieniem,
chcieli jeden przez drugiego klejnotem zawładnąć, jako że każdy z nich
za najgodniejszego pragnął być uważany. Każdy prosił tedy usilnie

sędziwego ojca, który już do śmierci się zbliżał, aby jemu pierścień ten pozostawił. Zaczyni człęk, wszystkich synów jednako miłujący, nie umiał uczynić wyboru, aż wreszcie umyślił, że najlepiej będzie przyrzec go każdemu z nich; aby wszystkich po równo ukontentować. Poleciał zaś w tajemnicy zręcznemu złotnikowi sporządzić jeszcze dwa pierścienie, które tak do prawdziwego podobne się okazały, że on sam, co uczynić je polecił, zaledwie mógł rozeznac pierścień prawdziwy. Przed śmiercią wręczył w tajemnicy każdemu synowi jeden pierścień. Po śmierci rodzica każdy z synów o dziedzictwo i o cześć należną się upominał i jeden zaprzeczał praw drugiemu, przedstawiając na dowód swój pierścień. Ponieważ trzy pierścienie tak podobne się okazały, że prawdziwego poznać nie można było, nierozstrzygnięte po dziś dzień zostało, kto jest właściwym dziedzicem.

Podobnie rzecz się ma, mój panie i władco, z trzema religiami, danymi przez Boga trzem nacjom. Każda z nich mniema, że posiada istotną spuściznę i prawdziwe prawo boże; która jednak ma słuszność, nie wiadomo, jak i nie wiadomo, kto prawdziwy pierścień posiada.

Saladyn spostrzegł, iż Żydowin uniknął zręcznie zastawionych nań sieci. Postanowił zatem otwarcie o potrzebach swoich go uwiadomić, aby przekonać się, czy mu usłużyć zechce, zdradził mu przy tym, co zamyślał z nim uczynić i co by, ani chybi, zrobił, gdyby tak rozumnej odpowiedzi nie otrzymał.

Żydowin dał Saladynowi po dobrej woli żadaną sumę. Saladyn zaś nie tylko po pewnym czasie dług swój w całości spłacił, ale jeszcze wspańiałymi darami go obsypał, uważał go za swego przyjaciela i zatrzymał przy sobie z oznakami czci wielkiej”.

Opowieść czwarta

Ciężki grzech

*Mnich, który w ciężki grzech popadł, gani przeora za tę samą
przewinę i w ten sposób od kary się uwalnia.*

Gdy Filomena, skończywszy swoją opowieść, zamilkła, siedzący obok niej Dioneo, nie czekając na rozkaz królowej (wiedział bowiem, że na niego teraz kolej przypada), tym kształtem mówić zaczął:

— Miłe damy! Jeśli dobrze nasze powszechne życzenie pojmuję, to zebraliśmy się tutaj po to, aby się opowieściami wzajemnie rozweselić. Mniemam, że każdemu zostawiona jest swoboda w wyborze materii, byleby tylko opowieść nie sprzeciwiała się ogólnemu prawidłu, to jest zajmującą była. Takie było bowiem życzenie królowej. Wysłuchaliśmy już opowieści o tym, jak to Abraham, za radą Giannotta di Civignia idąc, duszę swoją zbawił oraz jak roztropny Melchisedech obronił swoje bogactwa przed zasadzkami Saladyna. Sądzę, że na wasze przygany nie zasłuże, gdy wam opowiem o chytrej sztuczce, dzięki której udało się pewnemu mnichowi srogiej kary cielesnej uniknąć.

„W Lunigianie, niedaleko stąd leżącej, znajdował się klasztor, słynący dawniej z mnogości i świątobliwości braciszków, teraz zaś opustoszały. W klasztorze przebywał pewien mnich, człek młody i krzepkiego ciała złożenia. Sił jego ani posty, ani modlitwy, ani czuwania nocne nadwątlić nie zdołały. Pewnego razu, w samo południe, gdy inni braciszkanie odpoczynku zażywali, mnich ów, przechadzając się koło kościoła znajdującego się w okolicy pustej i oddalonej, napotkał

urodziwą wielce młodkę, która ani chybi córką jakiegoś okolicznego kmiecia być musiała. Dzieweczka zatrudniona była zbieraniem ziół. Ledwie mnich ją ujrzał, gdy chucie w nim rozgorzały. Dlatego też, zbliżywszy się do niej, w grzeczny dyskurs z nią wstąpił. Od słowa do słowa przechodząc, to wreszcie na niej wymógł, że zgodziła się pójść cichaczem do jego celi, tak iż nikt tego nie spostrzegł.

Tutaj mnich, żądzami swymi zbyt pobudzany, jął figlować z nią mniej ostrożnie, jak by należało. Tymczasem zdarzyło się, że przeor ze snu wycmucony, przechodząc obok celi mnicha, posłyszał rumor okrutny, który tamci czynili. Chcąc lepiej głosy rozróżnić, zbliżył się cicho do drzwi celi, nadśłuchiwać począł i wówczas poznał dowodnie, że wewnątrz białogłowa się znajduje. Z początku chciał rozkazać, aby drzwi otworzono, później jednak inaczej postąpić umyślił. Wrócił zatem do swej komnaty i czekał, aż mnich z celi wyjdzie. Mnich zaś, chociaż z całego serca rozkoszy używał, przecież miał się na bacności. Posłyszawszy, jak mu się zdawało, odgłos kroków na korytarzu, podszedł do drzwi, spojrzał przez szparę i ujrzał przeora, który podśluchiwał. Dorozumiał się od razu, że przeor uznał o bytności białogłowy w jego celi, a wspomniawszy, jak surowa kara mu za to zagraża, stropił się wielce. Nie dawszy jednak młodce żadnej o swym strapieniu poznaki, jął się głowić nie na żarty, szukając jakiegoś stosownego wybiegu. Wreszcie przyszła mu na myśl pewna chytra sztuka, o skuteczności której był twardo przekonany. Uczyniwszy pozór, że dość ma już miłosnych igraszek, rzekł do białogłowy:

— Idę teraz, chcąc wynaleźć skuteczny sposób na to, byś stąd niepostrzeżenie wyjść mogła. Dlatego też czekaj tutaj aż do mego powrotu.

Rzekłszy te słowa, wyszedł z celi, zamknął drzwi na klucz i zaraz udał się do komnaty przeora. Oddał przeorowi klucz, jak to każdy mnich miał w obyczaju czynić, kiedy z klasztoru się wydalał, i rzekł:

— Dzisiaj z rana, mój ojcze, nie zdążyli przewieźć wszystkich drew, co są przygotowane; za waszym pozwoleniem tedy chcę się udać do lasu, aby zwózki dopilnować.

Przeor, pragnąc dowiedzieć się szczegółowiej o grzechu, przez mnicha popełnionym, i mniemając, że grzesznik niczego się nie dorozumiewa, uradował się z tego przypadku. Wziął klucz i dał swoje przyzwolenie. Gdy mnich odszedł, przeor jął rozmyślać, jak mu postąpić należy: czy w obecności wszystkich mnichów drzwi celi otworzyć i sprośny grzech na jaśnię podać, tak aby braciszkwowie szemrać później nie mogli, gdy srogą karę rozpustnikowi wymierzy, czy też wprzód o wszystkim od onej niewiasty uznać szczegółowo? Pomyślał przy tym, że owa młódka może się okazać córką lub żoną jakiegoś czcigodnego człeka, któremu nie chciałby despektu sprawić, jawnie ją zniesławiając. Dlatego też postanowił dowiedzieć się wprzód, kim jest owa białogłowa, a później dopiero stosowne miary przyjąć. Z tym zamysłem podszedł do drzwi celi, otworzył je, wszedł do środka i znów drzwi za sobą zawarł. Młódka, obaczywszy przeora, zmieszala się wielce, od wstydu i trwogi gorzko płakać poczęła.

Świątobliwy przeor, spojrzawszy na nią, przekonał się, że dziewczeczka piękna jest i świeża. Chociaż był już człkiem sędziwym, przecież poczuł, że nim chucie okrutne owładają, na podobieństwo tych, którym młody mnich oprzeć się nie zdołał. Tedy rzekł do się na ten kształt: »Dlaczegóż bym nie miał uciechy zażyć, skoro sposobność się nadarza? Radości i wesela niewiele mamy, trosk zaś i zła zawsze pod dostatkiem. To piękna dziewczeczka, na honor! Nikt nie dowie się o tym, że tutaj była. Czemuż miałbym nie spróbować, czy mi się nie uda woli swej ją powolną uczynić? Grzech w tajemnicy to pół grzechu tylko! Korzystajmy ze szczęśliwej okazji, co się może już nigdy nie powtórzy, i nie pogardzajmy nierozważnie dobrem, którym Bóg bliźniego obdarza!«.

Tak myśląc, zbliżył się do płaczącej dziewczeczki, zamysł swój pierwotny całkiem odmienił, pocieszać ją półgłosem począł i prosić, aby płakać przestała. Po czym w ostrożnych słowach pragnienie swoje jej odkrył. Dziewczeczka, która nie była z żelaza ani z kamienia, zbytniego nie stawiała oporu. Przeor, obłapiwszy ją ciasno i ucałowawszy czule, pociągnął ją do wąskiego łóża mnicha. Mając jednak może należyty wzgląd na czcigodność swojej osoby, a także obawiając się, aby jej ciężarem swoim zbyt nie urazić, zamiast się na wątłej młódce położyć,

na brzuchu swym ją posadził i tą modłą długo z nią igrał. Mnich, który udał, że do lasu wyrusza, ukrył się w kącie korytarza. Obaczywszy, że przeor sam do celi wchodzi i drzwi za sobą zamyka, miał już za najzupełniej pewne, że jego fortel skutecznym się okaże. Podkraǳł się więc do drzwi i przez szparę obaczył wszystko, co przeor czynił. Ów, po długiej miłosnej rozprawie, zamknął młódkę w celi i do swej komnaty się udał. Wkrótce usłyszał mnicha i sądził, że ten już z lasu powrócił. Zamierzając go skarcić surowo i do ciemnicy wtrącić, tak aby z miłej zdo- byczy bez podziału korzystać, kazał go przywołać, a później przyjąwszy go z zagniewanym obliczem, rzekł, że go więzieniem ukarze.

Mnich odparł na to:

— Przewielebny ojcie, zbyt niedawno jestem w zakonie Świętego Benedykta, ażebym mógł znać szczegółowo wszystkie reguły. Nie wiedziałem na przykład, że mnisi oprócz wigilij i postów winni są jeszcze i dziewczęta na siebie nakładać. Teraz jednak, skoroście mi już stosowny przykład dali, przyrzekam nigdy pod tym względem nie chybić. Jeśli mi na ten raz przebaczycie, będę czynił tak, jak widziałem, żeście wy czynili.

Przeor, który był człowiekiem z natury bystrym, zaraz pojął, że mnich nie tylko lepiej od niego w sedno utrafił, ale wszystkie jego figle widzieć musiał. Zawstydził się postępku swego i nie chciał karać mnicha za to, czym sam zgrzeszył. Przebaczył mu przeto, pod warunkiem że ściśle milczenie zachowa. Później postarali się dziewczynę ukra- dkiem z klasztoru wyprowadzić. Mniemać należy, że młódka jeszcze nie raz tam powracała”.

Opowieść piąta

Kury

*Markiza z Monferrato gasi bezrozumną miłość króla
francuskiego, częstując go samymi kurami i obracając się
do niego ze stosownymi słowami.*

Opowieść Dionea zawstydziła nieco białogłowy, czego dowodem były rumieńce na ich obliczach; później ledwie się od śmiechu wstrzymać mogły. Jedna na drugą poglądając, słuchały noweli z uśmiechem na ustach. Gdy Dioneo dobiegł do końca, łagodnymi słowy zwróciły mu uwagę, że podobnych rzeczy przy białogłowach opowiadać się nie godzi. Królowa, obróciwszy się do Fiammetty, siedzącej obok niego na murawie, rzekła, że teraz na nią kolej przychodzi. Fiammetta, wdzięcznie się uśmiechając, w te słowa zaczęła:

— W poprzednich opowieściach okazane zostało na przykładach, jakie znaczenie mieć może szybka i bystra odpowiedź. Pomyślałam sobie, że jeśli mężczyzna rozumnie czyni, szukając zawsze miłości tej kobiety, której ród jest znaczniejszy od niego, to natomiast białogłowa winna ponad wszystko strzec się miłości do takiego męża, co stanem swym nad nią góruje. Dlatego też postanowiłam w tej noweli, którą teraz mam opowiedzieć, pokazać wam, miłe towarzyszek, jak to pewnej znacznej damie udało się słowem i uczynkiem od takiego afektu uchronić i drugiego od miłości odwieść.

„Markiz z Monferrato, człek wielkiej dzielności i chorąży Kościoła, wziął udział w powszechnej wyprawie krzyżowej za morze. Na dworze króla francuskiego Filipa Krzyżowickiego, który również do tej wyprawy

się gotował, jeden z rycerzy oznajmił w rozmowie, że nie ma na ziemi takiej pary jak markiz i jego żona. Jeśli bowiem markiz słynie pośród rycerstwa swymi wielkimi przymiotami, to żona jego jest najpiękniejsza i najcnotliwsza z wszystkich kobiet. Słowa te tak wielkie wrażenie na królu Francji sprawiły, iż zakochał się namiętnie w żonie markiza, chociaż jej dotychczas nie widział. Umyślił zatem dopiero w Genui wsiąść na okręt, aby stamtąd się przez morze przeprawić, do Genui zaś dotrzeć lądem, a po drodze, mając po temu sposobność tak godziwą, odwiedzić markizę. Miał nadzieję, że pragnienia swoje do lubego przywiedzie skutku, zważywszy na to, że markiza sama w domu pozostawała. Zamyśły swoje zaraz w czyn wcielił. Wysławszy naprzód swoje wojska, sam z nieliczną świtą w drogę wyruszył. Zbliżywszy się do włości markizy, pchnął umyślnego, aby powiadomić markizę, że następnego dnia przybędzie do niej na obiad. Roztropna i układna dama odparła, że wielce sobie zaszczyt ten ceni i że przyjmie króla jak najmilszego gościa. Później jęła się nad tym głowić, co króla tak znacznego do tego przywodzi, aby ją odwiedzać w czasie, gdy mąż jej obecny nie jest, i odgadła, że sława jej piękności tu go przynęciła.

Tym niemniej postanowiła przyjąć gościa, jak się należało. Przywołała wszystkich znaczniejszych ludzi pozostałych w domu i zasięgnawszy ich rady, przygotowała wszystko na godne przyjęcie; tylko ucztą i wyborem potraw sama się zajęła. Kazała zarznąć wszystkie kury, jakie pod rękę podpadną, i tylko z nich przyrządzić kucharzom wiele rozlicznych potraw. Naznaczonego dnia przybył król i został godnie i wspaniale przyjęty. Ujrzawszy markizę, przekonał się, że piękność jej, osobny wdzięk i przymioty znacznie przechodzą wszystkie opowiadania rycerza. Zadziwił się wielce i tym większym płomieniem rozgorzał, im bardziej piękność markizy przewyższała tej piękności fałsz. Król zażył odpoczynku w komnatach, przybranych okazale i stosownie na przyjęcie tak znacznego gościa, gdy zaś nastała pora obiadu, usiadł z markizą za stołem. Innym zgromadzonym dano miejsce wedle ich godności za sąsiednimi stołami. Król niewypowiedzianej rozkoszy zażywał, smakując w wyszukany jadle, próbując win znamienitych i nie odrywając wzroku od pięknej markizy. Jednakże w miarę jak półmiski wciąż zmie-

niano, zaczął się nieco dziwować, spostrzegłszy, że jeśli i potrawy różne były, to przyrządzono je wszystkie tylko z samych kur. Król dobrze wiedział, że okolice tamtejsze obfitują w dziczyznę, w którą, na wieść o jego przyjeździe, był jeszcze czas się opatrzyć. Mimo swego zdziwienia z tej osobliwości, od onych kur właśnie chciał zacząć, by przygadać markizie, i obrócił się do niej z takim żartem:

— Czy, Wasza Miłość — rzecze z wesołym uśmiechem — w kraju tym kury rodzą się bez koguta?

Markiza w lot pojęła, do czego król pytaniem swym zmierza, i widząc, że sam Bóg zsyła jej sposobność wyjawienia gościowi swojej intencji, odparła swobodnie:

— Nie, Miłościwy Królu! Białogłowy tutejsze są takie same jak wszędzie, chociaż w swych strojach i obyczajach od innych nieco się różnią.

Król, usłyszawszy tę odpowiedź, zrozumiał zarówno ukryte znaczenie słów markizy, jak i przyczynę, dlaczego obiad z samych kur się składał. Pojął, że z taką białogłową na nic się zdadzą cukrowane słówka, a także i gwałtem niczego się nie sprawi. A chociaż nieopatrznie żądze się w nim wielkie zażęgły, przecież osądził, że lepiej będzie dla jego czci, jeśli ten płomień nieestosowny przygasi. Zaprzeszał żartów, obawiając się, aby markiza znów mu ostro nie przymówiła, i zbył się wszelkiej nadziei. Skończywszy obiad podziękował za przyjęcie, jakie go spotkało, polecił markizę Bogu i do Genui zaraz się udał, aby śpiesznym odjazdem zatrzeć nieprzystojny powód swego przybycia”.

Opowieść szósta

Sto za jedno

*Pewien czcigodny człek trafnym słówkiem karze szpetną
obłudę mnichów.*

Siedząca obok Fiammetty Emilia zaczęła swoją opowieść, gdy już wszyscy zebrani dość wysławili mądrość markizy, która podobną odprawę francuskiemu królowi dała.

— I ja — rzekła z wdziękiem — opowiem o podobnym response, danym przez pewnego mądrego, a świeckiego człeka skąpemu mni-chowi. Ze słów tych nie tylko śmiać się trzeba, ale i je zachwalić.

„Żył niedawno we Florencji mnich z zakonu braci mniejszych, inkwizytor kacerskich błędów. Jak i wielu innych, chciał on uchodzić za świętoszka i człeka żarliwego w wierze chrześcijańskiej, co mu nie wadziło śledzić równie za tymi, których mieszki dobrze nabite były, jak i za heretykami.

Przypadek nadarzył mu kiedyś pocziwca uposażonego więcej w dukaty niżli w rozum. Ów, nie dla słabej wiary, ale z prostoty ducha, może podochocony winem lub zabawą nieumiarkowaną, rzekł pewnego dnia do swojej kompanii, że ma wino tak dobre, iż sam Chrystus piłby je z ochotą. Słuch o tym doszedł do ojca inkwizytora, który dowiedziawszy się, że bluźnierca ma wielkie włości i dobrze nabity mieszek, *cum gladiis et fustibus*¹ srogie śledztwo rozpoczął. Miał na

¹ *cum gladiis et fustibus* (łac.) – mieczami i kijami.

myśli nie tyle sprowadzenie grzesznika na drogę prawej wiary, ile napełnienie swojej kieszeni jego dukatami. Przywoławszy go, zapytał, czy prawdą jest, co przeciw niemu mówią. Prostack odpowiedział, że tak, i wyjaśnił, jak było. Świętobliwy inkwizytor i czciciel Świętego Jana Złotobrodego rzekł:

— Tedy uczyniłeś z Chrystusa opoja i smakosza win, na podobieństwo Moczygęby lub innego pijanicy, niewychodzącego z szynkowni, teraz zaś, przyznając się pokornie, chcesz w nas wmówić, że błaha to sprawa. Nie jest jednak tak, jak ci się zdaje. Zasłużyłeś na stos i pójdziesz w ogień, jeśli zechcemy postąpić z tobą według prawa!

I ze srogą miną jął gromić biedaka, jakby był on samym Epikurem, co duszom nieśmiertelności zaprzeczał. Mówiąc pokrótce, tak go przeraził, że pocziwina przez pośredników posmarował tłusto balsamem Świętego Jana Złotoustego ręce inkwizytora (balsam ten jest wielce skuteczny na zarazę chciwości pośród księży, a zwłaszcza braci mniejszych, którym nie wolno pieniędzy dotykać), aby ów więcej litośnie chciał z nim postąpić.

Cudotwórczości maści, o której wszakoż Galen w swoich medycznych księgach nie wspomina, w tak wielkiej ilości użył, że płomień stosu, grożący mu, zamienił się w znak krzyża; dali mu żółty krzyż na czarnym polu, niby proporzec rycerzowi, co na wyprawę krzyżową się gotuje. Nie dość tego. Wziąwszy pieniądze, ojciec inkwizytor zatrzymał grzesznika na kilka dni przy sobie, przykazawszy mu, aby dla pokuty słuchał codziennie mszy u Świętego Krzyża, a w godzinie posiłku stał przed jego obliczem; przez resztę dnia mógł czynić, co zechciał.

Grzesznik, odbywając pilnie pokutę, usłyszał pewnego dnia podczas mszy, jak śpiewano te słowa Ewangelii: »Sto za jedno oddane wam będzie i posiadziecie żywot wieczny«.

Zachował je dobrze w pamięci. W oznaczonej godzinie, spełniając rozkaz, zjawił się u inkwizytora, który właśnie obiad spożywał.

Mnich zapytał go, czy dnia tego mszy świętej wysłuchał, a usłyszawszy, że tak, rzekł:

— Zaliżesz nie słyszał czego, co by wątpliwość w tobie pewną wzbudziło i przeto wyjaśnień się domagało?

— Nie, ojcie — odparł pocziwiec — wierzę we wszystko i najmniejszej wątpliwości nie mam. Usłyszałem jednak coś, co mnie wielką litością dla was i braci waszego zakonu natchnęło. Ciężko wam będzie na tamtym świecie, ojcowie czcigodni!

— Jakież to słowa — zapytał inkwizytor — takim współczuciem dla nas cię napęłniły?

— Był to ustęp z Ewangelii — odparł prostak — który powiada: »Sto za jedno otrzymacie!«.

— Nie masz nic prawdziwszego nad to — rzecze mnich — ale czemuż cię te słowa tak wzruszyły?

— Zaraz wam wszystko wytłumaczę, ojcie wielbny. Od czasu jak przebywam w waszym klasztorze, widzę, że codziennie wynosicie żebrakom kocioł albo i dwa kotły zupy, która z obiadu wam została. A owóż, jeśli na tamtym świecie za każdy kocioł sto wam oddadzą, wszyscy się w zupie potopicie!

Ci, co pospołu z inkwizytorem biesiadowali, wybuchnęli głośnym śmiechem. Inkwizytor pojął, że słowa te przeciwko obłudnej dobroczynności mnichów wymierzone zostały, i wielce się tym stropił. Gdyby nie przygana, jaką zyskał poprzednim swoim przyznaniem, ani chybi, wszcząłby przeciw niemu drugi proces, mszcząc się za zniewagę swoją i innych braci pasibruchów. Rozgniewany, puścił go swobodnie i przykazał, aby mu się więcej na oczy nie pokazywał”.

Opowieść siódma

Poskromienie skąpca

*Bergamino opowieścią o prymasie i opacie z Cluny zawstydza
niespodzianie skąpego Cane della Scala.*

Gdy Emilia opowiadała zabawnie o niepowszednim rzeczeniu krzyżowca, całe towarzystwo pospołu z królową śmiało się serdecznie i pochwał nie szczędziło. Gdy śmiech umilkł i wszyscy się uspokoili, Filostrato, na którego kolej nadeszła, zaczął na ten kształt:

— Piękną rzeczą jest, miłe damy, trafić w cel nieruchomy, ale gdy łucznik popadnie strzałą w przedmiot mu nieznany, który się nagle pojawia — to kunszt nad kunsztami. Występne i brudne życie mnichów jest jawnym dowodem ich zepsucia, z czego każdy łącznie może śmiać się i drwić do woli. Jeśli pocziwiec dobrze uczynił, dworując sobie z inkwizytora i obłudnej dobroczynności mnichów, którzy dają ubogim strawę, stosowną dla świń, to nie mniej wychwalać należy tego człeka, co mi go poprzednia opowieść na pamięć przywiodła. Ów niezwykle a niespodziane skąpstwo udzielnego i bogatego księcia Cane della Scala w swojej wesołej opowieści wyszydził, wkładając w usta drugiego to, co o sobie i o nim chciał powiedzieć.

„Ten Cane della Scala, jak to fama po całym świecie głosi, był wielkim wybrańcem fortuny, a przy tym jednym z najślawniejszych i najwspanialszych książąt Italii od czasów Fryderyka II, cesarza, po dzień dzisiejszy. Pewnego razu książę umyślił wyprawić w Weronie ucztę wspaniałą. Sprosił na nią zewsząd co znaczniejsze osoby i dworzan, ale gdy przybyli,

nagle zamysł swój odmienił; szczerze obdarzył swoich gości i z powrotem ich odprawił. Jeden tylko Bergamino, zawołany gaduła i człek bystrego dowcipu (o czym sądzić może tylko ten, co go słyszał), żadnej nagrody nie otrzymawszy ani też nie odprawiony, pozostał na miejscu, a przecież się nie trapił zbytnio, mniemając, że w przyszłości sownie sobie to odbije. Jednakże Cane della Scala pomyślał, że dać cośkolwiek Bergaminowi to gorzej, niżli w ogień rzucić, dlatego też milczał i wcale się doń nie zwracał. Bergamino czekał przez kilka dni, ale widząc, że nikt po niego nie przyszła ani umiejętności jego na próbę nie wystawia i że pobyt w gospodzie wraz ze służbą i końmi drogo go kosztuje, jął się nie na żarty trapić. Mimo to przecież czekał ciągle, myśląc, że nie byłoby rzeczą roztropną teraz odjeżdżać. Przywiózł zaś był z sobą trzy bogate i strojne suknie, które od innych książąt otrzymał, aby móc godnie na uczcie wystąpić.

W zapłatę za postój oddał oberżyskie z początku jedną suknię, po niej jakim czasie drugą, wreszcie jął żyć na koszt trzeciej szaty, postanowiwszy zostać tam dopóty, dopóki pieniędzy za nią wystarczy, później zaś puścić się w drogę powrotną.

Gdy już ostatnią suknię przejadł, zjawił się pewnego dnia z zatroskaną miną przed panem Cane della Scala, w chwili gdy ów za stołem siedział. Pan Cane della Scala, chcąc raczej zadworować z niego niżli rozweselić się jakimś jego trafnym słowem, rzecze:

— Co ci jest, Bergamino? Powiedz, dlaczegoś taki strapiony?

Wówczas Bergamino bez namysłu, jak gdyby już wszystko z dawna dobrze obmyślił, jął opowiadać nowelę, która jawnie jego położenie ukazać miała.

— Wiecie zapewne, Wasza Miłość, że prymas był nie tylko członkiem w gramatyce zawołanym, ale i świetnym a zręcznym wierszopisem. Jego nauka i umiejętność uczyniły go tak sławnym, że z imienia był on znany każdemu, nawet tym, co go nigdy na oczy nie widzieli. Bawiąc kiedyś w Paryżu, gdy wielki niedostatek znosił, jak mu się to często zdarzało, bowiem możni tego świata nie bardzo się kwapili, aby talenty jego wynagradzać, usłyszał o opacie z Cluny, który jak powszechna fama głosiła, był, oprócz papieża, najbogatszym dostojnikiem Kościoła. Ludzie opowiadali o nim dziwy, wysławiali jego szczodrość i wspianiałość, twierdzi-

li, że w jego domu wieczne święto panuje i że każdy, kto się tam zjawi, ugostzony zostanie, byle tylko poprosił o to, gdy opat jest przy stole. Prymas, który z ludźmi znacznymi przestawać lubił, umyślił udać się tam, aby przekonać się o szczodroblewości opata. Zapytał się, czy opat daleko od Paryża przemieszkuje, na co mu odpowiedziano, że jego dwór znajduje się o jakoweś sześć mil od Paryża. Wybrał się zatem w drogę wcześniej rano, aby stanąć na miejscu w obiadowej porze. Dowiedziawszy się, którędy mu iść należy, nie natrafił na nikogo, kto by w tę samą stronę dążył, przeto pełen obawy że zabłądzić może w takie miejsce, gdzie nic do jedzenia nie znajdzie, opatrzył się w trzy chleby, aby po drodze nie głodować, co się zaś wody tyczy, to myślał (choć nie był zbyt lubownikiem), że wszędzie ją napotka.

Włożył chleby za pazuchę i ruszył w drogę. Poszczyściło mu się tak, iż przybył na dwór opata jeszcze przed obiadem. Wszedłszy do domu, jął się na wszystkie strony rozglądać i ujrzał liczne stoły dokoła rozstawione, kredensy obficie opatrzone i różne rzeczy do obiadu przygotowane; z tego wniósł, że opat musi być naprawdę szczodry, tak jak fama głosi. Tymczasem zbliżyła się godzina obiadu. Marszałek dworu kazał podać wody do obmycia rąk, a potem każdemu miejsce za stołem wskazał. Zdarzyło się, iż Prymas zajął miejsce naprzeciw drzwi, przez które opat miał wejść do komnaty. Było to na tym dworze w obyczaju, że dopóki opat nie zasiadł za stołem, nie podawano niczego, wina ani chleba, jadła ani napojów. Zastawiwszy stoły, marszałek oznajmił opatowi, że obiad już gotów. Opat rozkazał otworzyć drzwi, które do jadalni wiodły; ledwie stanął na progu, wzrok jego padł na Prymasa. Był on nędznie ubrany, a przy tym opat nie znał go wcale. Gdy go obaczył, przyszła mu do głowy po raz pierwszy myśl niegodna. »Kogóż to ja nie karmię za swoim stołem?« — rzekł do siebie. Cofnął się od proga, przykazał zamknąć komnatę i zapytał tych, co w pobliżu niego stali, czy nie znają tego włóczęgi, co naprzeciw drzwi za stołem siedzi. Wszyscy odparli, że nie wiedzą, kto by to był.

Prymas, jako człek do postów nieprzywykły, a przy tym wygłodniały po przebyciu szmatu drogi, poczekał chwilę, ale widząc, że opat nie nadchodzi, wyciągnął jeden z trzech bochenków chleba tkwiących za pazuchą i jeść go począł.

Opat po pewnym czasie posłał do komnaty jednego ze swych sług, aby obaczył, czy nieznajomy już odszedł.

Sługa doniósł, że spożywa chleb, który ani chybi, przyniósł z sobą.

— Niechaj je, jeśli ma własny — odparł opat. — Naszym się dzisiaj nie pożywi!

Opat chciał, aby Prymas sam się ze swego miejsca ruszył, niegodną rzeczą bowiem mu się zdało za drzwi go wyrzucać. Prymas tymczasem zjadł jeden chleb, a widząc, że opat nie nadchodzi, do drugiego bochenka się zabrał. Powiadomiono o tym opata, który znów kazał słudze obaczyć, czy przybysz siedzi za stołem.

Prymas, zjadłszy drugi bochen chleba, wydobył trzeci. Opat, dowiedziawszy się o tym, zamyślił się i rzekł do siebie: »Co mnie do głowy dzisiaj przyszło? Skąd to skąpstwo i ta wzdurliwość w stosunku do tego człeka? Od tylu lat już karmię tych, co są zgłodniali, nie pytając, czy to szlachcice, czy chłopci, bogacze czy biedacy, kupcy czy oszuści. Widziałem, jak z mego dobra korzystali włóczędzy, a przecież nigdy nie owładały mną myśli takie jak teraz, gdy na tego człeka patrzę. Należy mniemać, iż takie skąpstwo nie mogło się zrodzić we mnie w odniesieniu do nikczemnego człeka. Ów nieznajomy, co włóczęgą mi się zdawa, musi być znamenitym człowiekiem, skoro mnie coś tknęło, aby go uczcić należycie».

Rzekłszy to, chciał się dowiedzieć, kto był ów przybysz. Gdy mu powiedziano, że jest to prymas, który tu przybył, aby przekonać się na własne oczy, czy wysławiana szczodrość opata jest taką w samej rzeczy, opat zawstydził się szczerze, bowiem słyszał już być wiele o tym człeku i o jego umiejętnościach.

Chcąc błąd swój naprawić, jął mu wielką cześć okazywać. Ugościwszy go u stołu, obdarzył go szatami, stosownymi do jego godności, mieszkaniem złotą i pięknym rumakiem, i dał mu do wyboru: pozostać na jego dworze czyli też odjechać. Prymas, wielce ukontentowany, gorące podziękowania mu złożył i powrócił na koniu do Paryża, skąd przybył piechotą.

Pan Cane della Scala, człek rozumny, pojął od razu, co Bergamino chciał rzec przez to, i odezwał się doń z uśmiechem.

— Udatnie, mój Bergamino, przedstawiłeś swoje krzywdy i wartość, a także i moje sknerstwo; dałeś mi poznać dowodnie, czego pragniesz ode mnie. Doprawdy, powiem ci, że nigdy dotąd nie byłem dla nikogo tak nieużyty i skąpy. Przepędzę to skąpstwo tym kijem, który mi ukazałeś.

To rzekłszy, zapłacił oberżyskie za Bergamina, obdarzył go wspa-
niałą własną szatą, sakwą pełną złota, rumakiem i przyzwolił mu albo
pozostać przy sobie, albo też swobodnie odjechać”.

Opowieść ósma

Skąpiec Grimaldi

*Wilhelm Borsiere gładkimi słowy wyszydza skąpstwo
imć Ermina de'Grimaldi.*

Siedząca obok Filostrata Lauretta, wysłuchawszy pochwał nad sprytem Bergamina i widząc, że na nią kolej nadchodzi, nie czekając wezwania, jęła mówić w te słowa:

— Poprzednia nowela przywiodła mnie ku temu, aby wam opowiedzieć, jak to pewien dworzanin w podobny sposób skutecznie ukarał i wyśmiał chciwość bogatego kupca. Moja opowieść podobna będzie do opowieści Filostrata, jednakże sądzę, że nie mniej wam do smaku przypadnie, bowiem koniec ma szczęśliwy.

„Żył ongiś w Genui szlachcic, Ermino de'Grimaldi, który według powszechnego mniemania był wówczas najbogatszym członkiem we Włoszech; żaden bogacz nie mógł mu dorównać majątkościami i nagromadzonymi pieniędzmi. Ale górując nad wszystkimi bogactwem, przewyższał także swym sknerstwem wszystkie kutwy na świecie. Nie trzeba nawet i wspominać, że dla bliźnich sakwy jego szczelnie zamknięte były; nie dosyć na tym, sam sobie bowiem odmawiał rzeczy najniezbędniejszych, skąpiąc na jedzenie, picie i odzież, przeciwnie do obyczaju Genuńczyków, którzy wystawnie a wspaniale ubierać się lubią. Wreszcie do tego doszło, że puszczono w niepamięć jego nazwisko Grimaldi i Erminem Sknerą zwać go poczęto.

Zdarzyło się, iż w tym czasie, gdy Ermino przez stałe sknerstwo bogactwa swoje powiększał, przybył do Genui obyczajny i gładki dworak, a przy tym zawołany mówca, Wilhelm Borsiere. Mało był podobny do wielu dzisiejszych panków, którzy mimo swych skażonych i występnych obyczajów za ludzi znamienitych chcą uchodzić i nosić szlacheckie tytuły. Podobni są oni do osłów, bowiem wzrosli raczej wśród wszelakiej brzydlivości i ludzkiej ohydy, niżli na dworach wychowani zostali. W owych czasach dworanie z usilnością starali się o zgodę, jeśli gdzieś wybuchła kłótnia lub nienawiść; przyczyniali się do kojarzenia małżeństw i zacieśniania związków przyjacielskich; trafnym a wdzięcznym słowem rozweselali umysły po dniu pracy, natomiast cierpką, ale ojcowską przymówką występki nikczemników razili. Wszystko to czynili za niewielkim wynagrodzeniem. Dzisiaj natomiast trawią swój czas tylko na tym, że plotki roznoszą, sięją niezgody, wzbudzają waśnie, mówią rzeczy niegodziwe, a co gorsza, czynią je na oczach ludzkich, ganią jeden drugiego za rzekome czy też prawdziwe bezceństwa, zaś ludzi zacnych fałszywymi pochlebstwami ku różnym szkaradnościom podwodzą. Na wstyd naszemu wiekowi, prawie zawsze największych łask i dobrodziejstw od niegodnych panów dostępuje, kto najwięcej zdrożności i plugastw czyni lub mówi. Wszystko to jest hańbą wielką czasów naszych i jawnym dowodem, że cnoty nas już opuściły, ostawiając nas na pastwę występków i nieszczęść.

Ale powracając do właściwego wątku, od którego gniew słuszny oderwał mnie na dłużej, niż się tego spodziewać mogłam, powiem, że ów Wilhelm cieszył się w Genui osobnymi względami i przyjaźnią wszystkich. Przebywszy w mieście kilka dni, usłyszał o skąpstwie i niegodziwości Ermina i widzieć go zapragnął. Ermino ze swej strony usłyszał także o Wilhelmie Borsiere jako o człeku wielce zacnym, a jako że mimo przyrodzonego skąpstwa tliła się w nim jeszcze isierka ludzkości, tedy przyjął go z twarzą wesołą, uprzejmymi słowy go powitał i rozprawiać o różnych rzeczach począł. Później wraz z innymi Genuńczykami wwiódł go do swego nowego i pięknego domu. Oprowadziwszy go po nim, rzekł:

— Siła rzeczy widzieliście na świecie, panie Wilhelmie! Rad bym dowiedzieć się od was, jaką rzecz osobliwą i nigdy niewidzianą mógłbym wymalować w tej sali?

Wilhelm, usłyszawszy to śmieszne żądanie, odparł:

— Nie mogę wam, panie, powiedzieć nic o rzeczy, której nikt jeszcze nie widział. Chyba byłoby to kichanie albo jakaś rzecz podobna. Jeśli jednak pragniecie, mogę poradzić wam coś, czegoście wy dotąd jako żywo nie widzieli.

— Proszę was, powiedzcie mi, co to takiego — rzekł Ermino, który nie spodziewał się wcale, jaka będzie odpowiedź Borsiere.

— Każcie odmalować szczodrość — odparł żywo Wilhelm.

Usłyszawszy te słowa, Ermino tak się zawstydził, że w jednej chwili całkiem się odmienił, a potem rzekł:

— Każę ją odmalować, panie Wilhelmie, w taki sposób, że ani wy, ani nikt inny już powiedzieć nie będzie mógł, iż jej nie widziałem i nie poznałem.

Istotnie, od tego dnia — taka była skuteczność słów Wilhelma — stał się Ermino najhojniejszym i najmiłszym człekiemy w Genui i nikt z tych, co żyli tam za jego czasów, nie okazał więcej serca swoim i obcym”.

Opowieść dziewiąta

Pątniczka

*Król Cypru, wydrwiony przez pewną Gaskonkę,
staje się z człeka tchórzliwego dzielny.*

Teraz przyszła kolej, aby Eliza, jako ostatnia, wypełniła rozkaz królowej.

Eliza, nie zwlekając, zaczęła opowiadać wesoło:

— Nieraz się przytrafia, miłe białogłowy, że nagany i srogie kary nie mogą tego sprawić, co jedno słowo, często przypadkiem, a nie *ex proposito*¹ rzeczone. Jawnie to widać z opowieści Lauretty; w swej krótkiej noweli chciałabym to samo ukazać. Dobre opowieści zasługują na to, aby ich słuchać z uwagą, bez względu na to, kto je opowiada, mogą bowiem zawsze oddać pożytek.

„Za czasów pierwszego króla Cypru, gdy już Gotfryd z Bouillon Ziemię Świętą zdobył, zdarzyło się, iż pewna dama gaskońska wybrała się z pielgrzymką do grobu Chrystusa. W powrotnej drodze zatrzymała się na wyspie Cypr, gdzie ją znieważyło kilku niegodziwców. Obracała się ze swymi skargami powszędzy, ale nigdzie nic wskórać nie mogąc, postanowiła wreszcie skargę swą królowi przedłożyć. Nie radzili jej tego czynić, tłumacząc, że wszystkie starania pójdą na marne, król bowiem jest tak gnuśnej i tchórzliwej natury, iż nie tylko nie mści się za obelgi innym wyrządzone, ale nawet puszcza płazem niezliczone zniewagi sobie uczynione. Kto w duszy jakąś urazę lub żal żywi, staje

¹ *ex proposito* (łac.) – celowo, z rozmysłem.

zwykle przed królem i swobodny upust swej złości daje, czyniąc mu, jaką chce zniewagę. Usłyszawszy o tym, dama gaskońska, która już traciła nadzieję na odwet za krzywdy swoje, postanowiła przynajmniej dla jakiegoś zadośćuczynienia małoduszność króla zgromić. Stanęła przed nim i rzekła ze łzami:

— Przyszłam do ciebie, panie, nie po to, aby żądać sprawiedliwości za zniewagę mi uczynioną. Zamiast uczynić jej zadość racz tylko nauczyć mnie, jak należy znosić obelgi i osławy, których, jak słyszę, nikt ci nie szczędzi. Za twoim przykładem ścierpię może tę hańbę, którą bym ci chętnie odstąpiła, wiedząc, z jaką cierpliwością wszelkie szkalowania znosisz.

Król, dotychczas na wszystko głuchy i nieczuły, nagle jakby się z głębokiego snu ocknął. Przede wszystkim surowo ukarał tych, co krzywdę damie wyrządzili, a później ścigał nieubłagane ludzi koronę jego znieważających”.

Opowieść dziesiąta

Zakochany starzec

*Mistrz Albert z Bolonii zawstydzona białogłową, która chciała
sobie zeń zadrwić dlatego, że ją miłował.*

Po Elizie miała głos zabrać jeszcze królowa, która z wielkim wdziękiem w te słowa ją mówiła:

— Miłe białogłowy, podobnie jak gwiazdy w świetliste noce upiększają niebo, a kwiaty wiosną ziemię, tak wdzięczne słowa kraszają wesołą gawędę i dobre obyczaje. Krótkie słowa przystoją bardziej białogłowym niż mężom, nie powinny też one bez potrzeby wiele i długo mówić. Tym więcej że teraz, ku wielkiemu wstydtowi wszystkich, niewiele ostało takich białogłów, co dowcipne słowo rozumiejąc, odpowiedzieć na nie są w stanie. Wielki to wstyd dla nas i dla wszystkich pań naszej doby. Co u dawnych niewiast ozdobą umysłu było, to dzisiejsze białogłowy tracą na ukraszenie ciała swego; ta, która się w najbardziej pstre suknie lamówką obramione przystroi, już się sobie wielkiej czci godną wydaje, a i nie pomyśli o tym, że na osła można by władować jeszcze więcej sukien niż na nią; osioł by je nosił, nie przestając być jednocześnie osłem. Wstyd mi to mówić, nie mogę bowiem prawić przeciwko innym tak, abym sama siebie oszczędzić mogła. Owe białogłowy, tak upstrzone, umalowane i przystrojone, stoją niby nieme i nieruchome posągi z marmuru; jeśli się je o co zapytać, odpowiadają tak, że lepiej by było, gdyby zmilczały. Starają się przy tym wmówić w nas, że ich niezdarność i nieumiejętność prowadzenia rozmowy w towarzystwie

niewiast i zacnych mężów płynie tylko z niewinności i prostoty duszy; głupotę swoją cnotliwością zowią, tak jakby tylko ta białogłowa cnotliwą była, co umie gadać jeno z praczką, służącą lub piekarką. Pragną, abyśmy uwierzyli, że takimi już je natura stworzyła, jednak natura przecież inny środek znaleźć by mogła, chcąc ich gadulstwo ograniczyć. We wszystkim trzeba znać miarę i w tym, jak w innych przypadkach, brać pod uwagę czas, miejsce oraz i to, z kim się mówi, inaczej bowiem, gdy zechcemy ostrym słówkiem kogoś w pomieszanie wprowadzić, łatwo zdarzyć się może, że przeliczywszy się ze swymi siłami, sami pokraśniejemy od wstydu.

Abyście przeto ostrożności się nauczyły i aby na was nie sprawdziło się przysłowie, że kobiecie we wszystkim zawsze gorszy udział przypada, opowiem wam ostatnią na ten wieczór nowelę, jako że na mnie teraz kolej przychodzi. Niechże opowieść ta sprawi, abyście nie tylko szlachetnością duszy od innych się odróżniały, ale i polerownością obyczajów.

„Przed niedawnymi czasy żył w Bolonii znakomity lekarz, którego imię sława prawie po całym świecie rozniosła. (Może być, że żyje on jeszcze po dziś dzień). Medyk ten zwał się mistrzem Albertem. Liczył sobie pod siedemdziesiąt lat życia i chociaż już utracił przyrodzony żar ciała, przecież duch w nim był tak krzepki, że na miłosne płomienie nieczuły nie pozostawał. Ujrawszy pewnego razu na uczcie urodziwą wdowę, która jak powiadają, zwała się Margarytą de'Ghisolieri, zapłonął do niej strzelistym afektem niby młodzieniaszek jaki. Zdało mu się, że nie uśnie nocą, jeśli w dzień nie obaczy świeżego i cudownego jej lica. Jął więc krążyć koło jej domu czasem pieszo, to znów konno, jak przypadło, tak iż po jakimś czasie wdowa, jako też i inne białogłowy, odgadły powód tych przechadzek i nie raz bawiły się widokiem sędziwego człeka, wiekiem i rozumem górującego nad innymi, którym miłość owładła. Doprawdy, mniemały zapewne, że namiętność miłosna tylko w piersiach głupich młodzieniaszków przemieszkować może.

Pewnego dnia świątecznego, gdy mistrz Albert koło domu się przechadzał, zdarzyło się, że wdowa w otoczeniu innych białogłów siedziała przed wrotami domu. Ujrawszy z dala Alberta, postanowiły

przyjąć go z oznakami wielkiej czci, a później jego afekt wyszydzić. Tak też i uczyniły. Poszły mu na spotkanie i zaprosiły go do cienistego chłodnika, gdzie znakomitymi winami i słodyczami ugoszczony został. Później wielce grzecznymi i subtelnymi słowy wypytują go jęły, jak mógł się zakochać w białogłowie, której tylu układnych i urodzanych młodzieńców hołduje. Doktor, widząc, jak oględnie go ukłuto, roześmiał się wesoło i odparł:

— Nikt rozważny temu się dziwować nie może, madonno, że miłuję, a zwłaszcza was, w pełni bowiem na tę miłość zasługujecie. My, ludzie sędziwi, nie mamy oczywista tych sił, których trza do igrzysk miłosnych, jednakże nie brak nam dobrej woli ani rozumu, którym poznajemy, co jest miłości godne, a umiemy to czynić lepiej niż młodzieńcy, bo więcej od nich mamy rozeznania. Nadzieja, co pobudza mnie ku temu, abym miłował was, uwielbianą od tych chłopców, na tym się zasadza: często widywałem, jak białogłowy jadają łubin i pory, a chociaż nie masz w tej roślinie nic dobrego i tylko w główce jest smak niejaki, przecież one, fałszywym apetytem znęcone, główkę w rękach trzymając, obgryzają liście, które nie tylko są nic niewarte, ale i posmak przykry zostawiają. Czyż można wiedzieć, czy przy wyborze miłośników podobną modłą nie postąpiłyście? Jeśliby tak było, ja sam pozostałbym na placu, a inni zalotnicy byłiby precz przegnani.

Słowa te zawstydziły nieco układną damę i jej towarzyszkę.

— Trafnie i dwornie ukaraliście, mistrzu, naszą pewność siebie i złośliwość — rzekła. — Afekt, który dla mnie żywicie, jest mi drogi, jako afekt mądrego i czcigodnego człeka. Oprócz mojej cnoty wszystko gotowam jest wam oddać, wedle upodobania waszego.

Mistrz Albert podniósł się z ławy, podziękował pięknej pani i śmiejąc się, pożegnał się z niewiastami. I tak owa dama, nie bacząc na to, z kogo dworuje, zamiast zwyciężyć, sama zwyciężona została. Łacno się od takiej kłęski ustrzeżecie, gdy roztroprnymi będziecie”.

Już słońce chyliło się ku zachodowi i żar dzienny się zmniejszał, gdy skończyły się opowieści młodych dam i trzech młodzieńców. Królowa rzekła tedy żartobliwie:

— Dzisiaj, gdy władzę piastuję, nic mi już innego uczynić nie pozostaje, jak przystąpić do wyboru nowej królowej, która według swej woli porządek na jutro ustanowi, tak aby życie nasze dalej gorliwej rozrywce podległe było. Do nocy wiele jeszcze czasu nam ostaje, ale kto w porę się nie przygotowuje, tego przyszłość zaskoczy. Tedy, zgodnie z wolą nowej królowej, należy przygotować wszystko, co jutro potrzebne okazać się może. O tej też porze i dni następne zaczynać nam przyjdzie. Tak więc, w imię Tego, przez kogo wszystko na świecie dla naszej radości żyje, królewską władzę na dzień następny oddajemy rozumnej młódce, Filomenie.

To rzekłszy, podniosła się z miejsca i laurową koronę z głowy zdjawszy, oddała ją Filomenie, a potem pierwsza jej hołd złożyła. Za tym przykładem poszli wszyscy, pozdrawiając ją jako królową i jej władzy się poddając. Filomena, widząc się ukoronowaną, pokraśniała ze zmieszania, a wspomniawszy niedawne słowa Pampinei, która przed nieroztropnym poczynaniem przestrzegała, wszystkie jej rozrządzenia potwierdziła, a potem i ułożyła, co na jutrzejszy dzień i wieczrę uczynić należy, pozostając w dotychczasowym miejscu.

— Miłe towarzyszki — rzecze następnie — aczkolwiek Pampinea, bardziej przyrodzoną sobie uprzejmością niż względem na moje przynioty powodowana, uczyniła mnie waszą królową, to w wyborze naszych rozrywek chcę iść nie tylko za moim mniemaniem, ale i z waszymi życzeniami się liczyć. Opowiem wam pokrótce, co według mnie przedsięwziąć by należało, abyście wszyscy mogli to i owo dopełnić i poprawić, zgodnie ze swym gustem a życzeniem. Dobrze zważyłam na rozrządzenia Pampinei; znalazłam je chwalebnyymi i dobrze ku powszechnemu ukontentowaniu zmierzającymi, dlatego też zdaje mi się, że nic w nich zmieniać nie należy, dopóki niedostatków w nich się nie odkryje lub dopóki nudnymi nam się nie staną. Teraz zaś, gdyśmy już wszystko ustanowiły, wstańmy i zażyjmy przechadzki; o zachodzie słońca, ciesząc się chłodem, wieczrę spożyjemy, a potem kancony odśpiewawszy i zabawiwszy się, udamy się na spoczynek. Wstaniemy raniem przed jutrznią, każdy zażywając wczasów będzie czynił, co zechce, później w oznaczonej porze, jako i dzisiaj, obiad zjemy,

potańczymy i snem pokrzepieni, znów przystąpimy do opowiadań, które według mego zdania, wiele pożytku i uciechy nam sprawiają. Chciałabym tylko pewien porządek do tych opowiadań wprowadzić, czego Pampinea uczynić nie zdołała, będąc późno królową obwołana. Mniemam, że dobrze by było, gdyby każda wiązanka opowieści jakimś wspólnym rodzajem objęta została, tak aby każdy miał czas przygotować piękną jakąś opowieść i obmyślić ją zgodnie z materią wprzód wybraną. Na początek tedy taki grunt rzeczy podawam: jak wszystkim wiadome jest, od stworzenia świata ludzie wiecznemu niestatkowi fortuny podlegają, niechajże zatem każdy przygotowuje opowieść o tych, co wbrew nadziei z przeciwnymi losami walcząc, szczęśliwie cel osiągnęli.

Damy i młodzieńcy przyklasnęli temu ułożeniu. Gdy wszyscy umilkli, rzekł Dioneo:

— Zgadzam się, królowo, ze wszystkimi, że wasze ułożenie na pochwałę zasługuje, ale jako o łaskę osobną was proszę, abyście mi pozwolili, dopóki tu w kompanii jesteśmy, nie podlegać temu ogólnemu prawidłu i opowiadać to, co mi na myśl przyjdzie. Aby jednak nikt nie pomyślał, że o łaskę tę proszę jako człek, któremu materii do nowel braknie, zgadzam się zawsze na końcu głos zabierać.

Królowa, wiedząc, że Dioneo jest zawołanym żartownisiem, domyśliła się snadnie, że idzie mu o tę wolność, aby w przypadku gdy towarzystwo już znużone będzie, rozweselić wszystkich nieoczekiwanie jakąś zabawną historią; dlatego też, naradziwszy się z innymi, na prośbę jego przystała.

Później wszyscy podnieśli się i skierowali kroki swoje ku przecznej rzece, która wody swoje toczyła z pagórka w dolinę, gęsto zacienioną drzewami, płynąc pośród kamyków i traw zielonych. Tutaj, buty zdjawszy i ramiona obnażywszy, weszli do wody i igrali w niej wesoło. Gdy się godzina wieczery zbliżyła, wrócili do pałacu i pożywili się ze smakiem. Po wieczery przyniesiono instrumenty muzyczne. Królowa dała znak, aby rozpoczęto tańce, którym Lauretta przewodzić miała. Emilia, pod dźwięk lutni Dionea, odśpiewała kanconę miłosną:

Tak jestem dumna z lic moich piękności,
 Że nigdy inne kochanie
Mną nie owładnie ni w sercu zagości.
 Patrzę na siebie i w piękna odbiciu
 Znajduję wieczne źródło upojenia.
Zdarzenia, myśli, sny o przyszłym życiu
 Nigdy mi mego nie zaćmią marzenia.
 Jakież to inne żądze czy pragnienia
 I jakież inne kochanie
Mogłoby przybyć tu, do serca w gości?
Gdy kiedykolwiek je dla swej rozkoszy
Przywołam — dąży już na me spotkanie,
Cierpienie z serca, smutek z myśli płoszy.
A tak jest piękne, że nie znajdzie na nie
Stosownych pochwał ten, komu kochanie
 Z podobną siłą w duszy się zagości.
Gdy wzrok oderwę od swojej postaci,
Tęsknota serce w piersiach rozplómienna
 I krew goręcej w żyłach mi szkarłaci.
Snów najtajniejszych oglądam wcielenia,
Bo czar piękności wszystko w krąg przemienia,
W szczęście i zachwyt, co przychodzi w gości
 Do ludzi własną miłujących krasę.

Pieśń dobiegła do kresu. Wszyscy wesoło jej wtórowali, aczkolwiek słowa niektórym dziwne wielce się wydały. Później płasali jeszcze z ochotą, ponieważ jednak większa część krótkiej nocy już upłynęła, królowa oznajmiła, że pierwszy dzień się skończył. Zapalono pochodnie i towarzysztwo, jak przykazała, na spoczynek do komnat swoich się udało.

Kończy się pierwszy dzień Dekameronu i zaczyna drugi, w którym, pod przewodem Filomeny, mówi się o tych, co przeciwnym losom podlegając, przecież, wbrew nadziei, do pomyślnego skutku sprawy swoje przywiedli.